№ 22. Warszawa, dnia 21 Maja (2 Czerwca) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Powieść czeska z czasów odrodzenia (dokończenie). — Na samotności (wiersz) — Błędne drogi. Rzecz opowiedziana przez J. K. Gregorowicza (dalszy ciąg). — Z wycieczki. — Z Amerykańskich wspomnień. — Przegląd literacki (dokończenie). — Z kraju i z zagranicy. — Zawiadomienia. W Dodatku: Stary zamek (La lizardière.) Romans współczesny (dal. ciąg). — Pani Teodora (dal. ciąg).

POWIEŚĆ CZESKA Z CZASÓW ODRODZENIA.

I.

POWIEŚĆ NA TLE LUDOWEM.

Skreślił

Wiktor Czajewski.

(Dokończenie.)

Równocześnie ze Swietlą i Szmilowskim rozpoczął zawód pisarski Witesław Halek, wydawszy w 1857 roku pierwszy swój na wzór Byrona ułożony poemat „Alfred", oraz wiele innych ulotnych pieśni i dramatów.

Młody ledwie w świat wchodzący podczas odrodzenia poeta, był synem niezamożnych rodziców. Urodził się w Dolinku 5 kwietnia 1835 r., gdzie ojciec dzierżawił podówczas oberżę. Wkrótce jednak rodzice jego przenieśli się do Zatworza. Tam młody chłopiec uczęszczał do elementarnej szkoły. Skończywszy ją, czas jakiś zajmował się ojcowskiem gospodarstwem, gdzie po za domem tworzył sobie odrębne życie, a pasając inwentarz, po borach i górach miał sposobność ukochania otaczającej go pięknej natury.

Gdy podrósł, ojciec chciał wziąć go do pomocy, zwłaszcza, że w tych czasach opuścił Zatworz i objął większą daleko już gospodę w Biszkowicach, gdzie przypadkiem dostał się w centrum obywateli niemieckich. Trudno było nieznającemu języka obchodzić się z tymi ludźmi, a ponieważ własny interes tego wymagał, oddał Witesława do Jestrzebi na naukę obcej mowy. Po roku powrócił chłopiec do obowiązków, szczęściem jednak, że ojciec niedowierzając synowi poszedł z nim do księdza proboszcza, aby ten go z niemczyzny przeegzaminował.

Proboszcz Honzik należał do ludzi godnych i uczciwych, dbających o dobro ogółu. Przy egzaminie przedstawił mu się młody Witesław bardzo pomyślnie, tak dalece, iż zobowiązał się wpłynąć na rodziców, aby ci dali mu dalsze wykształcenie.

Żądania proboszcza uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, a ponieważ i rodzicom młodego chłopca znacznie lepiej zaczęło się powodzić, przeto w nadziei, że wyrośnie z niego uczciwy kapłan, oddali na dalszą naukę do Pragi. Zawiodły jednak marzenia rodziców. Halek ukończył pomyślnie nauki, ale nie pogodził się z myślą przywdziania szaty duchownej. Ukończywszy uniwersytet oddał się głębszym studyom filologii. Stanowczy ten krok w brew woli tak zniechęcił rodziców, że mu dalszej odmówili pomocy. Oburzył też na siebie i dawnych opiekunów, do których i ksiądz kanonik Sztulc (tłomacz „Dziadów") się zaliczał. Bo i ten ostatni wychowywując Halka spodziewał się, że wychowa dobrego sługę ołtarza. Zawiódł się jednak bardzo. Mieszkając w bursie, którą kanonik miał pod swym nadzorem, Halek niejednokrotnie zamiast spoczywać spokojnie, wydzierał się przez mur wieczorem, aby pospieszyć do teatru, który stawał się dla niego marzeniem i rajem. Również pokryjomu jeszcze na ławie szkolnej, rozpoczął swoją karyerę pisarską jako redaktor pisanego dziennika, jednem słowem zdżał tam, gdzie go wewnętrzne wiodło usposobienie, chęć sławy i szlachetność.

Wydawszy „Alfreda", stanął odrazu na stanowisku niezależnem i zajął miejsce w szeregu poetów i krytyków.

Ucząc się na obcych wzorach wiele naśladował, ale też więcej jeszcze wniósł piękna i prawdy, artyzmu i sztuki do poezyi a razem i literatury narodowej czeskiej. Dlatego nie możemy Halka oceniać jedynie jako poetę i powieściopisarza nie uwzględniwszy wpierw jego prac reorganizacyjnych. Halek z wystąpieniem na widownię polityczną działał bardzo wiele, zakładał nowe pisma literackie, jakiemi są „Złota Praga" i „Kwiety" a co więcej zbiera i zawiązuje jedno z najwięcej czynnych poważanych do dziś kół literackich. Jest niem „Umelecka beseda" tak dzielnie występująca przeszło przez lat dwadzieścia nietylko w sprawach czysto naukowych, ale nawet połączonych i pokrewnych z nauką.

To też oceniając tę czynność Halka musimy uwzględnić wiele, zwłaszcza, że stanął na czele swego ludu i bronił go, aż do grobowej deski!

Pomiędzy utworami dramatycznemi i pieśniami, pisał Halek i powieści, początkowo na tle społecznem, gdzie wyższe ucywilizowane warstwy odgrywały pierwszorzędną rolę, potem jednak widząc, że powieść ta nie jest jego popisowem polem przerzucił się na pole więcej ludowej opowieści. I te powiastki powiodły mu się znacznie lepiej, chociaż jako poeta wybitnie liryczny, zamało zawierał w nich treści. Krytyka czeska dotąd niezdecydowana, nieorzekła stanowczego zdania o tych utworach. Przedewszystkiem najsprzeczniej zachowują się krytycy wobec „Poldika", którego jedni za dzieło w realnym kierunku artystycznie wykończone uważają, inni zaś brzydzą się niesmaczną miłostką, zręcznie wprowadzoną w tej opowieści.

Pominąwszy jednak te kwestye musimy przyznać, że niektóre powiastki są bardzo udatnie i artystycznie nakreślone, a na ich czele stoją niezawodnie „Na majątku i chałupce" (Na statku a chaloupce) „Na wyminku" (na wymijanem),

„Pod pustym kopcem", „Pod dutym stromem" i t. d. wreszcie „Muzikandzkiej liduszce".

Są to misterne, pełne kolorytu, zaokrąglone zręcznym rysunkiem obrazy, zawierające wiele życia i prawdy; wreszcie typy są bardzo wyraziście zaznaczone interesujące i pełne poezyi, która przedewszystkiem góruje tu nad prawdą i to cała może usterka Halkowej powieści. Ale ta poezya i zapał ożywia je bardzo, nie są one nudne, ale prędko przerzucającego je czytelnika oszołomiają kwiecistym stylem i nadzwyczaj śmiałemi rysami. Są także nawskroś czeskiemi i poruszają wyłącznie wiejskie w Czechach sprawy, zwłaszcza te, które najwięcej ogół ten obchodzić mogą.

W szczególności zaś z wymienionych powyżej powieści „Pod pustym kopcem", w której tak barwnie nakreślił „Lowaka" (łowczego), dwie piękne postacie Józi i Franka. Słowem nie zajął on na tem polu zbyt wybitnego stanowiska, nie zaznaczył nowych dróg jaki to w swoich utworach zrobiła Niemcowa, a wykończyła i rozwinęła Swietla, ale ułożył proste, a uczciwe opowieści, które z zajęciem nie przestaną być czytane. Jeżeli teraz przeprowadzilibyśmy linie porównaczą, to możnaby powiedzieć, że Halek tworzył opowieści ludowe, tak jak je tworzy Kraszewski i inni nasi literaci i powieściopisarze, którzy więcej słyszeli o ludzie, niż go osobiście sami zgłębiali i studyowali. Wprawdzie Halek powinienby znać go lepiej, ale w młodości nie zwracał na wszelkie drobiazgi uwagi, a co więcej nie umiał wcale ich odróżniać. Oddany następnie na studya do Pragi był tylko na wsi gościem, dlatego też jedynie nie jest tak wtajemniczony i wżyty w prostą ale głęboką filozofię i ducha, który przepełnia serca i pojęcia wieśniaka.

Do ludowych obrazków musimy zaliczyć i prace jednego z najzdolniejszych krytyków czeskich Ferdynanda Schulza, profesora czesko-słowiańkiej handlowej szkoły w Pradze.

Urodzony w 1835 roku w Ronowie około Czasławska, po ukończeniu studyów objął wykłady literatury i jednocześnie napisał historyczny obraz p. t. „Stary pan z Domaszic", drukowany w „Matice lidu". Jest to rzecz tworzona na wzór naszych „panów doświadczyńskich" z postawioną wybitną tendencyą.

Pomimo to rzecz sama jest dosyć pomyślnie nakreślona, a ponieważ wyszła w wydawnictwach „Macierzy ludu" przeto spełniła niezawodnie dobrze swoje zadanie! Poprzedziły jednak to wydanie dwie powiastki „Młoda żona" i „Rok w Pradze".

Najnowsza jego powieść „Dworskie państwo" ukazała się w „Osvietie" (rocznik XI z 1881 roku).

Szczęśliwie także rozpoczął swoją karyerę pisarską Aloizy Liraszek, (urodzony w 1851 roku w Hronowie około Nachoda, obecnie profesor w Litomyślu).

Również jak inni ludowi pisarze osnuł on swoje prace przeważnie na życiu goralskiem. Początkowo drukowane w Lumirze i Swietozorze zjednały sobie poklask ogółu, dla swej prostoty i prawdy.

Z tych powiastek wymienimy na czele zbiorek zatytułowany: „Povidky z hor". Stanowi on obrazki z życia czeskiego ludu pełne uroku i owej cieplej a prostej miłości, która się pod strzechą wiejską często znajduje. Największym i zarazem najpiękniejszym z nich jest „Zalisz", chociaż pełnemi wdzięku dziewiczego, są także: Pocieszny „Divous" i Smutny „Anczar". Krytyka czeska przyznaje także wielkie zalety co do budowy romansowi „Pro statek otcu" (za majątek ojców), ale treść tego obrazka, na którego czele stoi skąpstwo starca, nie robi bynajmniej dobrego wrażenia. Również o „Prutowskim" można powiedzieć że jak założenie jego jest oryginalne, tak historya sama przestarzała i po kilkakroć też obrabiana.

Do lepszych młodszych powieściopisarzy można bezsprzecznie zaliczyć i Wacława Benesza Trzebizskiego księdza w Kleczanach, który tak odrazu swym romansem „Bludné dusze", drukowanym w „Osvete" uzyskał sympatyą ogółu. Trzebizek pisze wiele i rozruca swoje powieści po wszystkich prawie czasopismach, a wszystkie rokują dobrą przyszłość temu młodemu powieściopisarzowi.

Utwory jego przedewszystkiem odznaczają się szlachetną, chociaż częstą czysto religijną tendencyą. Same „Bludne dusze" mają także swego moralizatora księdza i kościołek w Okrouhlinie, którego parafianie pomijają dla przyjęcia powracających huzarów.

Zupełnie odrębne miejsce w literaturze czeskiej zajmuje Antal Staszek (właściwie dr. Ant. Zeman). Jego utwory powstały przeważnie z podań i opowieści ludowych, na których czele stoi w szeregu wydanych powiastek „Nedokonczeny obraz". Tym romansem rozpoczął swoją karyerę romansopisarską i rzeczywiście zamanifestował się odrazu swoją odrębnością w kreśleniu postaci i charakterów.

W tej zwłaszcza części „Niedokończonego obrazu" spoczywa niejeden moment prawdziwie poetyczny, nawet pojedyncze ustępy były w stanie Antalowi Staszkowi zapewnić przynależny rozgłos.

Wprawdzie cała budowa szwankuje jeszcze bardzo. Pojedyncze części nie są tu ściśle powiązane i logicznie rozwinięta. Opowieść Staszka jest złożona z kilku dosyć wybitnych epizodów, z których parę tworzą osobne zupełnie powiastki. Główną treść stanowi tu miłość kilku dziewuch, koncentrująca się w demonicznym Pawle. Rozwiązanie wynikające z tragicznych przejść, jest bardzo interesujące, żal tylko, że autor nie posiada dosyć wprawy, aby zadość uczynił zewnętrznej formie.

Kończąc ten szkic o powieści ludowej w Czechach z czasów odrodzenia, rzucę tu parę ogólnych rysów, które nasunęły się z tej dosyć urozmaiconej całości. Wykazaliśmy już, że lud z całym jego sposobem myślenia i rozumowania nakreślony jest w powieściach Niemcowej i Swietlej: jako malarz typów wiejskich występuje tu wybitnie Szmilowski: pogadanki, klechdy i przepowieści znalazły swój odgłos w utworach Staszka: Halek i Schulz to są dwie wybitne postacie, które objęły wyższe ucywilizowane więcej stanowisko, pragnąc tam porwać i przenieść swego czytelnika.

Cały więc obraz powieści jest uzupełniony i jeżeli pierwsze trzy tu wymienione nazwiska powieściopisarzy, przechowały w swoich utworach język i pojęcia ludowe, to Szmilowski wykazał nam żyjące jeszcze gdzie niegdzie typy, a Staszek przedstawił cały kierunek literatury, którą ten lud uprawia i do dziś między sobą przechowuje. Cały więc lud został odzwierciadlonym w powieści, która najniezawodniej pozostanie najlepszym świadkiem i pomnikiem dzisiejszego stanowiska wieśniaka wobec polityki, szkoły i nauki!

Na samotności.

(Dumka.)

Chciałbym śpiewać bracia moi,
Choć na smutną nutę —
Lecz się serce nucić boi,
Boleścią zatrute.
(Z dawnej dumki.)

Żal, tęsknota i zwątpienie,
Ponad czołem zwisły chmurą,
Bo gdzie zwrócę swe spojrzenie.
W koło ciemno i ponuro!

Niby ptak wypchnięty z gniazda,
Błądzę smutnie, albo marzę...
Nim zabłyśnie jasna gwiazda —
Co mi drogę życia wskaże!..

Lecz nim zalśni wśród zawiei,
I w życiowych burz zamieci,
Promyk szczęścia i nadziei,
Jeszcze wiele chwil uleci!...

A więc wezmę do rąk lutnię,
Czarodziejkę snów mych złotą,
By zaśpiewać wam co smutnie,
Coś z boleścią i z tęsknotą!...

By zanucić o swym losie,
I zapłakać nad swą dolą,
Lecz niestety! struny rwą się...
I snuć piosnek nie dozwolą!..

Więc powracam ze łzą w oku,
Do mych marzeń i zwątpienia,
I z gwiazdeczki, czy z obłoku,
Czekam chwili wybawienia!

Lecz gdy spojrzę z po za głuszy,
Na znękane dzieci świata...
Duch mój żalem się poruszy —
I za chmury gdzieś ulata!...

I tam buja skrzydły swemi,
Po przestrzeni... długo, długo...
By nie widzieć, że na ziemi,
Łzy szeroką płyną strugą!...

Kazimierz Lechnicki.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Panna Salomeja była to już osoba w czwartym krzyżyku wieku, z noskiem zadartym i czupurnej postawy. Wzrost miała niewielki, ale fertyczna, zgrabna choć nieurodziwa i szczególną zalecająca się starannością w ubraniu. Mieszkała na Starem mieście jako podlokatorka szewca Mateusza, wdowca już szpakowatego, człowieka krotofilnego i stanowczo utrzymującego, że nie wie na prawdę, czy on się pali do panny Salomei, czy ona go oczami świdruje na wylot.

Izba w której mieszkali, znajdowała się na poddaszu, a tym sposobem aż na piątem piętrze. Miała trzy okna z dachu na zewnątrz wystające i tworzące przez to jakby trzy oddzielne pokoiki. Ostatnie okno od wejścia zajmowała p. Salomeja, przedłużenie jego stanowiły dwa stare parawany, wyciągnięte jak struny i przywiązane sznurami do haków wbitych w ścianę.

Przy drugiem mieścił się szewc Mateusz, trzecie zaś było opróżnione i czekało na nowego lokatora.

Panna Salomeja żyła w ciągłej niezgodzie z Mateuszem, nie kłócili się co prawda, a nawet spotkawszy obchodzili się z sobą z największą grzecznością, ale za to siedząc w swoich oknach dogryzali sobie wzajemnie, przytyczkami, szyderstwem i naśmieszkami, udając, że każde z nich do siebie tylko mówi i że jedno przez drugie nie jest słyszane.

Walka taka podjazdowa, najczęściej toczyła się we wtorek, gdy Mateusz przedłużył hulankę świąteczną do poniedziałku i w kapeluszu na bakier stawał przed swą sąsiadką dobrze podcięty i w humorze nadzwyczaj wesołym. Nie zawsze to mu się zdarzało, ale jeżeli pohulanka w niedzielę niedopisała, poniedziałek na pewno przepadał, warstat stał próżny, pan majster birbantował a terminator Grzesio łatał obuwie i nadchodzących interesantów przyjmował z miną czeladnika zastępującego pryncypała.

Był to sprytny chłopak, prawdziwy ulicznik warszawski, zawsze w parcianem ubraniu, z jedną szelką, w trepkach na nogach, z czupryną roztarganą i fartuchem przed sobą zawieszonym. Żywy, zwinny, wścibski, szczególniej tam gdzie był najmniej potrzebny, nie bał się nikogo. Zaczepki nie przebaczył, obelgi nie darował, przed szturhańcem nie upokorzył się, ze schodów zbiegł jak piorun, z podwórza jak ptak frunął przez bramę, na ulicy pędził jak chart, a zaczepiającego z łajaniem brutalnem, musiał zwymyślać, zmieszać z błotem i obrzucić śmieciem albo kamieniami.

Panna Salomeja lubiła go i powiadała, że choć urwis ale honorowy i religijny bo żydów nie lubi. Grześ znał tę słabość podstarzałej panny, miał dla niej szacunek i poważanie, za co ta wywzajemniając się, zawsze broniła go przed majstrem, gdy posłany na miasto za długo się zabałamucił. W jednej tylko rzeczy byli z sobą w sprzeczności. Panna Salomeja nie lubiła poniedziałkowań Mateusza bo zakłócały jej spokój domowy, Grześ zaś przepadał za niemi. W nieobecności bowiem majstra wszelki zarobek za doraźne naprawki, wprost wpływał do jego ręki bez żadnego podziału, stragan zaś był niedaleko, na nim zalcki, bułki, salcesony a chłopak miał szalony apetyt większy zawsze nad możność jego zaspokojenia. Trojaczki więc i piątki były dla niego bardzo ponętne, oba zatem z majstrem poniedziałkowali, jeden pił nad miarę, drugi najadał się nad potrzebę a panna Salomeja obu łajała, jednego nazywając opojem a drugiego pasibrzuchem.

Jan w poniedziałek przybył do Warszawy, przed wieczorem był u pułkownika, tego więc dnia nie poszedł już na Pragę ale do panny Salomei, na czem nic nie stracił. Majster bowiem Mateusz poniedziałkował a Grześ zbierał trojaczki i kiedy przed samym wieczorem pryncypał nadspodziewanie wcześniej niż zwykle wrócił do domu, zastał chłopca w najlepsze zajadającego gruszki. Grześ oniemiał i mimowolnie owoc schował za siebie.

— Aha! złapałem cię nicponiu! — zawołał Mateusz przekręcając kapelusz na ucho i laską wykręcając młynka. Zkąd wziąłeś gruszki? Hę? Zaraz mi gadaj!

— Wyłatałem buty kominiarzowi...

— Moją skórą, dratwą i podeszwą? A ty rabusiu! oddaj, bo jak uchwycę cię to w tobie jednej kostki nie zostawię całej! Oddaj zaraz, oddaj!

Położenie rzeczy dla Grzesia było bardzo niebezpieczne, majster był dobrze podcięty, mógł go obić, a uciec nie było gdzie, gdyż Mateusz przewidując to, podtoczył się ku drzwiom i na klucz je zamknął. Grześ jednak nie był łatwy do poddania się, rozpoczęła się gonitwa z coraz większym zapyrzaniem się majstra; chłopiec wywijał się wykręcał, przewracał stołki, rozrzucał graty, wreszcie przyparty w zagłębienie okna, nie widząc innego dla siebie ratunku, wskoczył na dach, zachwiał się, poprawił i zwracając się do Mateusza roześmiał się z zadowoleniem, że mu takiego wypłatał figla.

Jednocześnie na stukot przewracanych gratów, ze swej przegrody wyjrzała Salomeja i zobaczywszy uczepionego chłopca na wątłej dachówce nad pięciopiętrową przepaścią, zaniemiała z przerażenia. Mateusz także osłupiał, chłopiec uśmiechał się patrząc na ich zakłopotanie.

— Zejdź zaraz ztamtąd — zawołała Salomeja, czyś zwaryował?

— Albo ja chcę, kiedy mi tu dobrze!

— Dobrze! — powtórzyła Salomeja załamując ręce — na takiej wysokości...

— A ty bisurmanie! — fuknął Mateusz i w tej chwili podsunął się ku oknu.

Salomeja równie się zbliżyła, blada, drżąca i przerażona.

Grześ zaczął się wspinać ku górze, a dachówki trzeszczały, gruz sypał się, chłopcu nogi obsuwały się...

— No, no, zejdź z dachu—ozwał się Mateusz—bo zlecisz na łeb i kark skręcisz.

— A niech tam skręcę—odrzekł Grześ, wstrzymując się w pochodzie — to pan majster pójdzie do kryminału...

— Ty chłystku! — krzyknął Mateusz — cóż to ukradłem ci co... ale co tam, zejdź ot lepiej a dam ci śliczny podarunek.

— Po łbie targańce a w kark sujek całą kopę. Oho! znam ja pana podarunki.

— No, no, zejdź Grzesiu, zejdź — mówił Mateusz z obawy trzeźwiejąc.—Już ci nic nie zrobię, jak Boga kocham...

— To niech pan powie: bodajem się pięścią przebił!

— A ty bezbożniku! krzyknęła Salomeja.

— Niech panna nie drze się, bo ja wiem co mówię — odezwał się Grześ — i wiem jakiego zaklęcia pan majster przestrzega.

— To prawda — mruknął Mateusz — urwis chłopiec, jak Boga kocham, jak on to dobrze wymiarkował.

— No to rzeknij pan — zawołała Salomeja.

— Ale, rzeknij — przerwał Mateusz — a jak się w sobie nie przyciszę i capnę go potem za łeb? Hę? Bóg miłosierny, to przebaczy choć człek pójdzie za swą krewkością, ale pięść może w durch przezemnie przelecić, bo dyabeł podsłuchuje i w grzech człeka wiedzie.

— A widzi panna! — zawołał Grześ — ja majstra znam dobrze.

— No, no, zejdź Grzesiu, mój poczciwy chłopcze — odezwał się znów Mateusz — już ci słówka nie powiem, widzisz jak się w sobie utemperowałem. Przyrzekam ci... słowo honoru...

— Co mi to znaczy — przerwał chłopiec — a kiedy pan majster chce mnie niewinnie skatować, bo w opiciu się to nie ma...

— Ty szubieniczniku! — zawołał Mateusz wytrząsając laską, ale mu Salomeja wyrwała ją z ręki, a na chłopca fuknęła, że do ognia dolewa oliwy.

— Przycisz się ty nicponiu — mówiła. — Ja tu dygoczę, majster drży cały żebyś nie zleciał...

— A tak, drżę, że ledwo trzymam się na nogach — zawołał Mateusz płaczliwym głosem — a ten nicpoń gotów zlecić i kark skręcić, jak Boga kocham.

— A jużcić zlecę, bo mi ręce już cierpną.

— A święty Antoni! — krzyknęła z przerażeniem Salomeja — panie Mateuszu toć zaklnij się, żeby jakiego nieszczęścia nie było.

— Słowo honoru, nie tknę cię wisusie, nie tknę, słowo daje... bodajem się pięścią przebił.

Mateusz usiadł na łóżku i smutnie głowę zwiesił jakby pognębiony zrobionem przyrzeczeniem: Grześ zaraz wskoczył do izby i gdy przesunął się koło Salomei, ta uchwyciła go za ucho i zaczęła niem kręcić, a chłopiec krzyczał udając ból wielki i śmiejąc się cichaczem.

— Ot! to to — mruknął Mateusz — słowo honoru wart basiorów, niech mu panna drugie ucho nakręci, ja pod zaklęciem ale panna swobodna.

Na wyraz *swobodna* drgnęła Salomeja. Był on dla niej nienawistny, zdawało się jej zawsze, że zwrócony do niej jest przymówką do jej długiego panieństwa. Krawiec, który się do niej mizdrzył i zalecał, nazwał ją raz także swobodną, a potem wyśmiał na boku objaśniając, że to jest alegoryczne, wysłowienie i oznacza stare panieństwo.

Od tego czasu, gdyby mogła wyraz ten wytrąciłaby z mowy ludzkiej i za każdym razem usłyszawszy go, surdając się marszczyła brwi i odymała usta.

Nazwanie więc siebie swobodną wzięła za rozmyślną obelgę, za zemstę obroną chłopca wywołaną. Puściła zatem Grzesia, rękę podparła na biodrze i tupnąwszy zawołała:

— Żem swobodna, to acpanu nic do tego, lepsza moja swoboda jak acpana łajdactwo poniedziałkowe, a mnie przytyczków proszę nie dawać, bo jakbym miała takiego marnotrawnika jak acpan dostać, to wolałabym się utopić i wypić truciznę.

— A toć jednego dosyć, żeby wystraszyć duszę z ciała — odezwał się Mateusz — dwa grzyby w barszcz to za wiele.

— Już ja się bez acpana rady obejdę i wiem co mi potrzeba — zawołała Salomeja. — Te acpana łajdactwa poniedziałkowe stają mi kością w gardle, i od pierwszego wyniosę się choćby pod schody a z acpanem dłużej mieszkać nie będę.

— A to wynieś się acpanna, jak mi Bóg miły, słowo honoru, wynieś się...

— Tak, wyniosę się, wyniosę! — wołała Salomeja przytupując nogą a Mateusz jednocześnie bił pięścią o poręcz łóżka mówiąc coraz głośniej i energiczniej:

— A to się panna wynoś, wynoś, babka z wozu kołkom lżej!

Grześ chcąc ułagodzić powaśnionych, podał im po kilka małych gruszek powiadając, że są bardzo smaczne. Umilkli natychmiast, Mateusz spojrzał na chłopca i pokręcił głową, miał ochotę zła pać go za czuprynę, wyciągnął rękę, ale się powstrzymał, pamięć na zaklęcie nawet go w stanie nietrzeźwym nie opuściła i mruknął tylko:

— Jutro sprawę osądzę.

— Dobrze panie majstrze — odrzekł Grześ pewny z doświadczenia, że jutro wszystko będzie zapomniane, a teraz niech pan majster sprobuje gruszek, słodkie jak cukier.

Salomeja uściskała chłopca.

— Poczciwy jesteś — rzekła — choć czasem za nadto sobie pozwalasz. Gdybym była mężczyzną, tobym chciała być ojcem takiego syna.

— A toć i kobiety są matkami — odezwał się Mateusz, toć pannie bliżej do tego jak dopiero przemieniać się w mężczyznę.

— Już ja się obejdę bez nauk pana Mateusza — odrzekła cokolwiek obrażona Salomeja. — Patrzcie go, jaki mi mądrala!

— Oj! mądrala, mądrala — mruknął Mateusz na wpół z płaczem, zajadając gruszki. Gdzie się człek ruszy to mu bieda pruszy. Przy robocie kłopot i ciężka praca, po robocie wymówki i dokuczanie, a jak za domem człek odetchnie, zaraz hur! hur! jakby na ostatniego.

— To nic nie szkodzi — odezwała się Salomeja, poczciwe słowo to nie kieliszek, zdrowia nie odbierze, grosza nie zmarnuje...

— I piersi nie przebije — dodał Grześ.

Salomeja pociągnęła go za rękaw.

— A przecieć i bydle — mówił dalej Mateusz, spoglądając na chłopca jak bazyliszek i zawsze jednym miłosiernym tonem, jak się wyrwie z uwięzi, to pobryka, pofiguluje, a ja co?

— Co prawda — odezwał się Grześ — to prawda, dziś wieprzek to się tak rzeźnikowi rozbrykał, że wpadł w dół i ledwo go z niego wyciągnięto.

— W jaki dół? — zapytał Mateusz. — Co ty huncwot gadasz?

— Jużcić w dół, co go do kanału wykopali przy zamku.

— A ty coś tam robił? — zapytał majster zrywając się. — Słuchaj no łajdaku...

Grześ ukrył się za Salomeję, ta ujęła za ręce majstra i przypomniała zrobione zaklęcie.

— Puszczaj mnie panna! — wołał Mateusz wydzierając się ku Grzesiowi. — Temu huncwotowi muszę karku nadłupać... słowo honoru...

— A toć się acpan upamiętaj — wołała Salomeja, ciągle zastępując mu drogę — przecieć mu odpuściłeś już winę...

— Ja, odpuściłem?

— Jakże, nie zakląłeś się acpan?

— Prawda — zawołał majster pomyślawszy chwilkę i prostując się dodał: — pan Mateusz ze Skowron Skowroński, zawsze był honorowy i słowo u niego to nie błoto tylko złoto...

— O! wiem to dobrze — przerwał Grześ — i wszyscy mówią w całej kamienicy, że uczciwszego i spokojniejszego człowieka jak pan Mateusz Skowroński to już nie ma na świecie.

— Poczciwi! niech im to Bóg wynagrodzi — odrzekł Mateusz siadając na łóżku. — W jedno święto co się mogę z ludźmi zabawić, a gdzie ich znajdę jak nie w bawaryi, gdzie łacniej idzie rozmowa jak nie przy kufelku?

— Stolarz z przeciwka — ozwał się Grześ — to zawsze śpiewa:

Kieliszeczek kochaneczek,
Przyjaciółka szklanka,
Jak ją ściskam i przyciskam,
Myślę, że kochanka.

— A ty hultaju! fuknęła Salomeja, żebyś takich bezeceństw podsłuchiwał i wyuczał się na pamięć!

Mateusz roześmiał się.

— Słowo honoru, ładna piosenka—zawołał.— Stolarz zawsze ją śpiewa a ja wygwizduję i tarabanię po stole palcami jak w bęben. Co to za muzyka to proszę posłuchać! Zaśpiewaj no Grzesiu a ja...

— Czyś acpan zwaryował? — wrzasnęła Salomeja, albo to tu bawarya a Grześ stolarzem?

— Jużcić prawda, że terminatorowi nie godzi się majstra naśladować, ale co muzyka to muzyka! W handlach z różnemi zbytkami, gdzie brak tylko ptasiego mleka, panowie i panie tylko się roją jak pszczoły w ulu, my się też rojem w bawaryach...

— Ah! — odezwał się Grześ — żebym to ja mógł się tak roić jak panowie..

— Jak zostaniesz majstrem, to się będziesz roił...

— Ej! co mi tam bawarya znaczy — mruknął Grześ. — Na placu ratuszowym to się w oknach przysmaków nie można napatrzyć. Wiszą sarny, zające, dzikie różne ptaki, raki wielkie jak prosięta, sery jak łby wołowe, szynki, pasztety i różne różności, że aż dziwne dzieją się rzeczy i ślina tak leci jak woda z rynny.

— A potrzebnyś tam przypatrywać się?—spytała Salomeja.

— To też tyla mege co się przypatrzę.

— Hm! — mruknął Mateusz. — Panowie czy piątek czy świątek zapijają, zajadają, panie stroją się jak syreny, pan utknie nosem jak wyjdzie z handlu...

— Raz widziałem — przerwał Grześ — jak pan taki wyszedł z handlu, ale nie utknął nosem, bo go wsadzili do dorożki...

— Czego ty mi chłopcze zawsze przerywasz?— zapytał Mateusz.

— A bo wtedy jakiś stał przy mnie i jak zobaczył, że tego pana pakują do dorożki, tak powiedział: a to dopiero spił się jak szewc w szynku.

— Jak szewc! — mruknął Mateusz — a zkąd to on dowiedział się, że szewcy tak się spijają?

— Musiał pewno widzieć pana Mateusza, jak wracał ze świątecznej pochulanki, objaśniła Salomeja.

— Mój Boże! — odrzekł Mateusz z żalem — to już im i to solą w oku.

— Co złe panie Mateuszu, to trudno, tego chwalić nie można.

— To złe ma być, że się człek zabawi i straci kilka złotych, a to dobre jak pan w domu skąpi, a za domem marnuje tysiące i rzuca złoto jakiej perełce z wabnemi oczami, co szeleści jedwabiem i udaje wielką panię wychowaną w cnocie i poczciwości?

— W imię Ojca i Syna! — zawołała Salomeja zgorszona. — Czyś acpan zwaryował takiemi rzeczami ozór zaprzątać?

— Albo to ja wół żebym ozór miał w gębie?— zapytał Mateusz z oburzeniem.

— Dziś to spotkałem — odezwał się Grześ — jak nieśli ozór i zająca z kaczką.

— Gdzie nieśli? — zapytał Mateusz i oblizał się z łakomstwem.

— Jużcić na pierwsze piętro od frontu, do tej pani co ją pan majster zawsze nazywa perełką.

— A to nie do wytrzymania! — zawołała Salomeja i weszła do swojej przegrody, dodając — prędzej z wami człek obłędu dostanie jak się czego rozumnego dogada. Żebym była mężczyzną tobym wam gęby pozalepiała klajstrem.

— Mój Boże! — mówił Mateusz pod wrażeniem ozora i zająca niesionych na pierwsze piętro. — Im to zbytkować można a na nas to mają wielkie oczy i jak człek troszkę sobie pozwoli za krwawy swój zarobek, to zaraz na niego: pijanica, marnotrawnik, opój, nicpoń i Bóg wie nie co, jakby im tylko wolno było bawić się i używać, a nam tylko pracować i pracować, wyspać się, nakarmić jak bydlę przy żłobie i znowu pracować od świtu do nocy. Bodaj przepadł taki porządek!

Mateusz spuścił głowę, splunął i coś do siebie sam mówił silnie rękami poruszając, Grześ słuchał a Salomeja wzdychała.

— Co prawda, to prawda—odezwała się wchodząc na nowo — że smutna nasza dola, ale świata nie przerobi i birbantek pana Mateusza nikt nie pochwali.

— Ej! zabawy każdy szuka, a te kilka złotych co stracę to mi państwa nie kupią.

— Mógłby pan Mateusz za te pieniądze pójść do teatru...

— Do teatru? — przerwał majster — a toć i tam zaszedłem kilka razy, ale raz tylko muzyka grała i grała i potem całą noc szumiało mi we łbie jak w młynie. Drugi raz tańcowano i tańcowano, że w końcu zdało mi się, iż wszystko koło mnie tańcuje, podryga i wykręca nogami: trzeci znów raz jak zaczęli gadać i gadać tak usnąłem i nie obudziłem się, aż zaczęli wrzeszczyć, tupać, klaskać i wychodzić, więc i ja wyszedłem i powiedziałem sobie, że do teatru nigdy nie pójdę choćby za darmo.

— Ja jednak choć codzień, tobym chodziła do teatru, żeby mnie stać na to było.

— Ba! panna co innego, bo ma edukacyą, lubi się książkami zabawiać, ale ja...

— To mogę dać jaką książkę panu Mateuszowi.

— A kiedyż ją będę czytać? W powszedni dzień nie, bo nie ma czasu, w święto do południa nabożeństwo, po obiedzie spanie za cały tydzień a wieczorem zasiadać do książki, gdy człek z ludźmi chce pogadać i rozweselić się, to jakoś nie idzie.

— To acpanu będę wieczorami czytywać.

— Jużcić byłoby to dobre coś z rozumnej książki chwycić — odrzekł Mateusz skrobiąc się w głowę — ale kiedy jakoś ze słuchaniem nie mogę statkować i zaraz mi się oczy kleją. Żeby to takie były książki jak Robinson, jak historya o Rynaldynim, Turek wojażujący, albo Pielgrzym w Dobromilu, toby człek słuchał. Ale w innych książkach, to więcej gadania jak ciekawości, jedno człek chwyci, drugie zapomni, trzecie pominie i nic z tego zlepić nie potrafi bo mu się w głowie pokręci i jedno pójdzie do lasa, drugie do Sasa i na tem koniec.

— O! Rynaldiniego i Robinsona — odezwał się Grześ — tobym słuchał choćby noc całą i nie pomyślałbym o spaniu. Pielgrzym w Dobromilu to ładna książka, podoba mi się, ale nie taka ciekawa jak Robinson albo Rynaldyni.

— Gdybym była mężczyzną — odezwała się Salomeja — tobym zaraz same takie książki pisała.

— A przecieć panna umie pisać, to któż jej broni.

— Kobieta nie ma do tego sposobu — odrzekła Salomeja — i ja wiem co komu przystoi.

— Oj! gdyby panna była mężczyzną, toby była wyrozumiała i nie wadziłaby się ze mną, nie dokuczała — mruknął Mateusz.

— To wszystko z życzliwości nie ze złości —

odrzekła Salomeja, a Grześ zaraz dodał filuternie:

— A tak, panna Salomeja zawsze chwali pana majstra i powiada, że poczciwy człowiek, że gdyby miał żonę, toby pani majstrowa umiała go w ryzie trzymać.

— Co ty pleciesz nicponiu? — zawołała Salomeja — a tobie co za awantury do głowy przychodzą?

— Na prawdę tak mówiła — odparł Grześ i uderzywszy się w piersi dodał: — słowo honoru, bodajem się pięścią przebił.

— Panno Salomejo — zawołał majster zrywając się z siedzenia w niezwykłych podrygansach, troszkę jednak zataczając się — panno Salomejo Bóg moim świadkiem, słowo honoru, że gdybyś się zgodziła, jutro zaraz daję na zapowiedzie, a za cztery tygodnie weselisko...

— Obejdzie się cygańskie wesele bez marcypanów — przerwała Salomeja, udając że się obraziła, a zobaczywszy, że majster chce ją pochwycić w objęcia, odepchnęła go mówiąc:

— Hola, hola! za wysokie progi na acpana nogi.

Majster jednak tak się uwinął, tak zgrabnie podszedł z drugiej strony, że choć się Salomeja broniła i głową wykręcała, pocałował ją w same usta.

— Otóż mi smak! — zawołał — jak w karmelku!

— Chyba jak w kieliszku — poprawiła rozgniewana panna i poprawiając pomięty kołnierzyk dodała ze złością:

— Gdybym była mężczyzną, tobym acpana tak palnęła w papę, że przykryłbyś się cały nogami.

— Panno Salomejo, klnę się, słowo honoru — odezwał się Mateusz, ale Salomeja odsunęła zasłonę pomiędzy parawanami i weszła do swego mieszkania.

Mateusz popatrzył, poskrobał się w głowę, machnął ręką mówiąc:

— Niechże i tak będzie, kiedy nie! no, to nie! przecieć nie powieszę się z desperacyi.

— To szkoda — mruknęła Salomeja za zagrodą — jednego mniej byłoby pijaka w Warszawie.

— Sroki nietylko pod lasem się chowają — odrzekł niby tylko do siebie Mateusz — ale i na Starem mieście skrzeczą po dniach całych.

— Nie brakuje i starych dziadów — odezwała się Salomeja — co się za romansami uganiają jak koty za myszą.

— Jak koty za myszą! — wrzasnął Mateusz ze śmiechem i runął na posłanie jak długi i póty się śmiał choć Salomeja ciągle coś dogadywała, że wreszcie zasnął chrapiąc na różne tony, jakby wiatr jęczał lub burza ryczała.

— Otóż i zaczęła się muzyka — zawołała zdesperowana Salomeja. — Pewno mu teraz w nosie nie przyciszy się jak nad ranem.

(D. c. n.)

Z WYCIECZKI.

I.

Zdziwisz się może niemało czytelniku, że wśród zimy, wtedy gdy cała natura jest w uśpieniu i gdy balsamiczną wonią górskiego powietrza nie można się napawać, znalazł się taki osobnik, który w tę porę właśnie ku górom podążył, aby nietylko część ich poznać, lecz nadto widokiem tych gór się nasycić. Otóż tym osobnikiem jadącym w góry w pośrodku zimy, był wasz uniżony sługa, który korzystając z dni świąt minionych opuściwszy Warszawę, wolny jak ptaszek, wesół jak uczeń uzbrojony w świadectwo promocyjne, podążył jeżeli już nie literalnie w same góry, to przynajmniej na podnóża ich, w okolice starożytnego Oświecima niegdyś stolicy udzielnej, księztwa tegoż nazwiska.

Opuszczając Oświecim i dążąc w stronę granicy węgierskiej, już z po za ruin starożytnego oświecimskiego zamku, daleko na horyzoncie rysują się wyniosłe grzbiety karpackich stoków z po za których na równiny szlązkie i krakowskie ciekawie wychylają się szczyty Babiej góry i Jaworzyny, teraz spowite w białe śnieżne całuny. Uroczy to aczkolwiek zimowy widok, zmieniający się co chwila i nadający również co chwila odrębny charakter okolicy. Oto przy szosie wiodącej do Kent, tuż u podnóża daleko ciągnącego się pasma wyżyn, wśród licznych sadów i drzewami sadzonych dróg i ścieżek, rozsiadła się wieś Grójec, zabudowana schludnemi chatami, świadczącemi o skrzętności i gospodarności, mieszkających tu włościan. Przebywszy grzbiet nie zbyt wielkiej wyniosłości, spuszczamy się drogą wijącą się po nad wąwozem przerzniętym aż dwoma strumykami pędzącemi z szumem w dwóch przeciwnych kierunkach. U podnóża tej wyniosłości rozciąga się dosyć rozległa równina, zamknięta z trzech stron wyżynami stanowiącemi odnogi podkarpackich stoków. Do ścian ich jak pisklęta do łona matki, przytuliły się liczne wsie i osady, z pośród których tu i owdzie wychylają się smukłe, wysokie kominy, świadczące o przemyśle fabrycznym jaki tu rozsiadać się poczyna.

Osiek piękna miejscowość z rezydencyą prawdziwie magnacką, wzniesioną wśród obszernego parku na gruzach starego dworu, przedstawia się wspaniale. Zamek Osiecki w stylu maurytańskim, podług planów Lanciego zbudowany został przez Karola Barona Larissa, przed blizko czterdziestu laty, pomimo tego zamek ten po dziś dzień nie jest jeszcze skończony, wątpić też należy, aby kiedykolwiek to nastąpić mogło. Oprócz gospodarstwa rolnego i rybnego są tu dwie papiernie z tych jedna nieczynna, w drugiej zaś, dzierżawionej obecnie przez żydów, wyrabiany jest ze słomy papier pakowy. Lud tutejszy jest pracowity i pijaństwu wcale nie hołdujący a umiejący korzystać z każdego owocu swej pracy, wskutek też tego jest zamożny, otoczony dobrobytem, co znowu wyrodziło w ludzie pewne poczucie godności osobistej.

Nie widać też tu owej poniżającej służalczości, lizusostwa, przeciwnie lud tutejszy nazwać by można „hardym", mimo że starszych wiekiem i stanowiskiem uszanować i uczcić umie. Mieszkańcy tutejsi zaliczają się do górali, a jako mający ciągłe stosunki z Niemcami i mieszkańcami Szlązka, oraz z żydami, mówią językiem polskim nader popsutym z domieszką wyrażeń i zdań niemieckich. Kalhoty, hozy, westki, leibiki, kapudroki, knepfliki, oto nazwy ich ubrań i części składowych tychże. „Jo" używają powszechnie zamiast „tak" a tradycyonalne powitanie: „Niech będzie pochwalony", ustąpiło miejsca kosmopolitycznemu: „Dzień dobry!" lub „Piknie kłaniam!" Z tem wszystkiem lud to poczciwy i trzymający się dawnych zwyczai.

I tak: w drugi dzień Bożego Narodzenia, parobcy pod przewodnictwem gospodarzy obchodzą chaty i dwory z tak zwanemi „Jasełkami" czyli kolendą.

Tacy też kolendnicy przybyli z za Toby z Przeciszowa do papierni Osieckiej. A było ich kolendników, czyli „Jasełczarzy" siedmiu. Z tych jeden przybrany w kurtę wojskową, hełm fantazyjny i dzierżący w ręce drewniany pałasz, przedstawiał Heroda: drugi Sw. Józefa, trzeci Matkę Boską, trzech innych pasterzy, a siódmy z papierową w przezroczu oświetloną gwiazdą i w złotej infule oraz długiej białej szacie: anioła. Przedstawiający św. Józefa i Matkę Boskę, ustawili między sobą wyobrażenie stajenki ze żłobkiem, trzej pasterze zaś jak dłudzy pokładli się na ziemi, udając śpiących.

Wtedy Herod zaczął wywodzić swe żale nad tem, że narodzić się ma Zbawiciel świata i wydał rozkaz by wszystkie dzieci w Betleem były wymordowane.

Tu rozpoczął się dyalog mową wiązaną, między św. Józefem, P. Maryą, dalej dyalog między pastuszkami, budzącemi się wskutek jasności jaka ich ogarniała i głosu anioła śpiewającego: Gloria in ex celsis! Dalej nastąpiło oddanie hołdu Chrystusowi przez pasterzy i złożenie mu ofiar, zakończenie zaś stanowiły przy dźwięku skrzypek wesoło odśpiewane kolendy i złożenie życzeń gospodarzowi i gospodyni domu.

W dni parę później przybyli znowuż innego rodzaju kolendnicy, a mianowicie z tak zwaną „kozą", która przy dźwiękach wesołej kolendy chórem odśpiewanej, różne skoki wykonywała, becząc iście baranim głosem i kłapiąc pyszczkiem drewnianym.

Mimo świąt i mimo rozpoczynającego się karnawału, szczerze wyznać muszę, że nie widziałem przez ciąg całego pobyty mego w Oświecimskiem, ani jednego pijanego. Za to w kościele wszyscy prawie młodzi i starzy modlili się z książek. Dowodzi to, że oświata robi tu postępy i że liczne szkółki wiejskie osiągają cel im wytknięty. Pomijając wiele rzeczy społecznych, które niewątpliwie z czasem i z szerzącą się oświatą zmienione będą na dobre, niepodobna przemilczeć tej okoliczności, że tak cały handel jak i przemysł fabryczny, tak w tej jak i innych częściach kraju, spoczywa w rękach żydów i niemców i to niestety jest nader smutnym objawem stosunków panujących w Galicyi. Gdzie się tylko ruszysz, gdzie spojrzysz, wszędzie są niemcy i jeszcze gorsi od tych żydzi, którzy mimo tylo wiekowego pobytu w Galicyi uważają się zawsze za naród odrębny, a co gorsza, za niemców. Już to najzaciętsi antisemici porównując żydów naszych z żydami galicyjskiemi, pierwszym przyznać muszę wyższość nietylko pod względem poczuć obywatelskich lecz i pod wielu innymi względami. Żydzi nasi czują się być obywatelami tutejszo krajowymi, gdy tymczasem żydzi galicyjscy są hordą najezdniczą, bandą rabusi, przednią strażą łupieżczych krzyżaków.

Objaw to smutny lecz niestety aż nadto prawdziwy, a tem smutniejszy, że przeciw temu najazdowi, przeciw temu zalewowi przez plemię se-

mickie, ludność miejscowa ze swoimi przewodnikami, z czołem narodu, nic a nic zdziałać nie może, będąc bezsilną przeciw potędze kapitału spoczywającego w rękach tych ubogich najezdzców.

I cóż pomogą wysiłki jednostek, co pomoże walka rozpoczęta na drodze legalnej p. Merunowicza? Nic! galicyjska wyższa i niższa szlachta, tak głęboko ugrzęzła w kieszeniach Moszków i Lejbów, tak jest od nich zawisłą, że dziś pozbyć się tychże nie może. Dawniej było przysłowie: gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła, dziś w galicyi przysłowie te opiewać winno: *Bez żyda i baba nic nie zrobi!*

Zet.

Z AMERYKAŃSKICH WSPOMNIEŃ
JULIANA HORAINA.

Ś. p. Horaina poznałem przed trzema laty we Lwowie. Był to nadzwyczaj sympatyczny człowiek, dowcipny, zawsze wesoły, nawet smutki i bóle umiał okraszać uśmiechem. Początek życia miał wesoły, nie spodziewał się pewno, że los gotował mu na dnie późniejsze goryczy i cierpień niemało.

Pytany, dlaczego wyjechał do Ameryki, odpowiadał szczerze:

— Życie zaczęło się stawać ciężkiem, miałem jeszcze trochę grosza, lecz to tylko resztki były dawnej fortuny. Umiałem niegdyś żyć wedle mego mienia, lecz nie potrafiłbym w moim powiecie wegetować, jak szlachcic zagonowy. Koło tych samych dworów, koło których przejeżdżałem paradnemi końmi i ładnym powozem, nie miałem odwagi przesunąć się na lichym wózku o jednej szkapie. A przytem duszno mi było, chciałem choć dzieciom przysporzyć więcej powietrza do oddechu.

Idąc tedy za tym popędem, opuścił kraj, przepłynął ocean, nie wiedząc czyli mu tam los dopisze i czy starczy na życie dla rodziny.

O Ameryce opowiadał często, bo opowiadać lubił wogóle i miał dar do tego. Słuchało się go z zajęciem choćby dnie całe. Szczegóły wiązały się z sobą, jak kwiaty w girlandach, a błyski humoru niby złote słońca promienie oświetlały całe obrazy.

Opowiadając np. o znajomości z Modrzejewską, chwalił obok jej artyzmu, przymioty towarzyskie.

— Cała kolonia polska kochała się w pani Helenie, ja naturalnie także. Powiedziałem, że dla niej gotów jestem zostać mormonem: nie chciała. Kiedy kupiła fermę i probowała gospodarstwa pszczolnego, ofiarowałem się jej na... trutnia, także nie chciała. Wreszcie zostałem garderobianą. Pewnego razu, kiedy Modrzejewska ubierała się na scenę, trzymałem jej papier ze špilkami...

Naturalnie, że będąc jej zwolennikiem pomagał w czem mógł. Miał stosunki z prasą, a że w Ameryce więcej może reklama, aniżeli zasługa czy talent, więc przychylne usposobienie dziennikarstwa, było naszej artystce potrzebne.

W Nowym-Yorku porobił ś. p. Horain liczne znajomości tak pomiędzy Polakami, jak i obcymi. Szczególnymi względami zaszczycał go redaktor wielkiego dziennika francuzkiego. Pewnego razu zaprosił go na ucztę, którą dziennikarze wydawali dla — króla Kalakana I. Władzca wysp Hawajskich gościł podówczas w New-Yorku i był dość popularny. W pośrodku literatów bawił się wybornie. Przy końcu uczty, zaproponowano, ażeby każdy z obecnych wzniósł toast w swym ojczystym języku. Horain wypowiedział po polsku czterowiersz.

Król Kalakana był bardzo zadowolony, każdego z obecnych żegnał uściśnieniem ręki.

— Był wzrostu ogromnego — opowiadał ś. p. Horain — ja wobec niego wyglądałem jak karzeł, a kiedy mi uścisnął dłoń, to jedynie respekt dla jego królewskiej mości, powstrzymał mnie od głośnego wykrzyku z bólu. Przynajmniej nie mogłem powiedzieć, że uścisk był nie szczery.

Każdego z literatów prosił król osobiście, ażeby go w jego królestwie odwiedził, marszałek zapisał nazwiska wszystkich dla pamięci. Korzystając z uprzejmych zaprosin, dał ś. p. Horain list polecający znanemu naszemu podróżnikowi p. Żabie, którego też na dworze hawajskim serdecznie przyjęto.

Zbliżywszy się do Horaina, zapytał król Kalakana, czy to prawda, że Polki są bardzo piękne.

— Prawda, najjaśniejszy panie!

— A czy prawdą jest również, że w Warszawie istnieje wystawa kobiet?

— I to prawda. W dnie świąteczne, a pogodne odbywa się ta wystawa w ogrodzie Saskim...

Król kazał marszałkowi swemu to zapisać, upewniając, że będąc w Europie nieomieszka odwiedzić Warszawy.

Do tej pory obietnicy nie spełnił, lecz wolno nam jeszcze mieć nadzieję.

Przygody te ś. p. Horain opowiadał często, spisał je wreszcie i odczytywał publicznie we Lwowie, Krakowie i w kilku miastach prowincyonalnych. W czytaniu wszakże traciły tę żywość i barwę, jaka płynęła z poufnych pogadanek.

W Ameryce pracował Horain nie wiele, już samo zdrowie nadwątlone nie pozwalało na wielką pracę. Pisywał do tamtejszych czasopism polskich, pisał korespondencye do dzienników warszawskich, a zresztą przypatrywał się życiu. Obserwatorem był doskonałym. Wnikał w życie głęboko, chociaż swe zdania zawsze okrywał humorem i wesołością.

— Każda rzecz musi mieć cel jakiś — powiadał — morały prowadzą niby do poprawy. Ja jestem nieuk i do naprawiania takiej skomplikowanej machiny, jaką jest człowiek, nie zabieram się nawet. Mają cię wyśmiać, lepiej śmiej ty się sam. Zresztą, wśrod ciężkich warunków życia śmiech jest potrzebnym. Gdybym się przestał śmiać, musiałbym zapłakać...

Życie w Ameryce drogie, fundusze Horaina topniały, trzeba było pomyśléć o wynalezieniu źródła dochodów.

Myślał i — wymyślił.

Prawdziwie, podziwiać trzeba pomysł Horaina oryginalny, pomysł cudzoziemca, który się natychmiast przyjął na gruncie amerykańskim i któryby komu innemu dałby ogromne zyski. Ś. p. Horain zdobył się na myśl, wykonał ją — lecz nie był spekulantem.

Zwyczajnie szlachecka, polska natura.

Lecz co to za pomysł, zapytacie?

Uczony w szkole, że „historia est magistra vitae", postanowił Horain ułatwić naukę dziejów młodzieży i ludowi amerykańskiemu. W tym celu obmyślił cały szereg illustracyi symbolicznych do historyi Stanów Zjednoczonych, wybierając naturalnie momenta najważniejsze.

Sam rysować nie umiał, wiedział także, że wykonanie takiej myśli nie małoby kosztowało. Zwierza się wszakże ze swym projektem pewnemu Francuzowi, z którym żył w bliższych stosunkach (nazwiska nie przypominam sobie).

Francuzowi myśl się spodobała.

— Wykonaj ją — rzekł — dam potrzebne pieniądze, albo zresztą sam zajmę się wydawnictwem.

— Zgoda!

Przywołano rysownika, z którym Horain ułożył tablicę, dość wielkiego formatu. Podzielono ją na sposób szachownicy, a w każdem polu była illustracya do jakiegoś ważnego momentu dziejowego.

Illustracye te, wykonane sposobem litograficznym były kolorowane. Przedstawienie pewnej myśli było zawsze jasne, zrozumiałe na pierwszy rzut oka. Tak np. zniesienie niewolnictwa przedstawiały potargane więzy, zdobycie Kanady, kotwica zarzucona na jej wybrzeże. Nietylko z dziejów wojennych wybierał Horain temata, nie zapomniał o cywilizacyi i wynalazkach. Nafta, lampa elektryczna, maszyna do szycia i t. p., wszystko to zostało uplastycznione stosownym rysunkiem.

Dookoła tych illustracyi były wizerunki najsławniejszych mężów, dobrze zasłużonych i godnych pamięci wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Niebrakło pomiędzy nimi Kościuszki i Pułaskiego.

Do kartonu tego była mniejsza tablica, również na tle pól podzielona, a w każdem data historyczna, odnosząca się do illustrowanego faktu.

Nie chcąc drażnić Amerykanów, dano wykonać te tablicę w litografii amerykańskiej, jakkolwiek francuzkie były o wiele lepsze, a przytem tańsze. Pierwszy nakład kosztował 5,000 dolarów. Nakładzca miał najpierw pokryć wyłożene koszta, a następnie czysty zysk miał pójść na podział pomiędzy nim a Horainem.

Sprzedaż szła jako tako. Nakładzca Francuz zamożny, lecz nie umiejący reklamować wydawnictwa, wiedział, że sporo czasu upłynie zanim się koszta pokryją. Trzeba bowiem było sprzedać 2,500 egzemplarzy po 2 dolary. Nie szło mu wcale o zwrot pieniędzy, lecz o pomoc dla autora. Dał mu więc 500 egzemplarzy, ażeby je sprzedawał na własną rękę, za pośrednictwem znajomych lub redakcyi pism polskich.

— Kiedy w domu nie było pieniędzy — opowiadał ś. p. Horain — brałem kilkanaście egzemplarzy mego dzieła i szedłem na miasto. Wstępowałem do małych kramów, do restauracyi i szynków. Czasem przyjmowano mnie wcale niegrzecznie, lecz nawykłem do tego. Sprzedawszy dziesięć lub nawet i więcej egzemplarzy, wracałem do domu zmęczony, ledwo żywy. Często siły mnie opuszczały, musiałem kilka dni leżéć w łóżku — aż znowu brakło pieniędzy, znowu musiałem rozpocząć wędrówkę...

Patrząc na tego małego, schorzałego człowieka, opowiadającego swe smutne przygody z uśmiechem, łzy miałem w oczach. Lecz tenże sam człowiek urastał nagle, kiedy opowiadał rzecz następującą:

— A jednak mogłem był lekko zarobić na mych kartonach 20 do 30 tysięcy dolarów. Powiedziano mi, że minister oświaty mógłby je polecić okólnikiem szkołom ludowym, wówczas kupiłaby każda z nich przynajmniej po jednym egzemplarzu. Małej tylko rzeczy było potrzeba — dać panu ministrowi 5,000 dolarów! Mój Francuz chciał dać pieniądze — nie przyjąłem. Wolałem

chodzić po szynkach i sprzedawać moje dzieło jak jarmarczne obrazki, aniżeli przekupstwem zdobywać tysiące w tem państwie wolności...

Dziwny człowiek!

Tułaczka zmęczyła go wreszcie; żona nakłaniała go do powrotu do Europy. Tęsknota ciągnęła wszystkich. Pozostał tylko najstarszy syn, który już miał w Ameryce zajęcie — reszta puściła się znowu przez ocean. Koszta podróży pokryto pieniędzmi, które świeżo wpłynęły ze sprzedaży kartonów.

— Dajcie mi tysiąc guldenów — mówił ś. p. Horain — a zrobię rzecz o wiele lepszą, do naszych dziejów. Niezwierzył się wszakże, jaką miał właściwie myśl — wspomniał tylko, że potrzebowałby dwanaście brązowych posążków, pięk. nie modelowanych. Szkoda, że projekt poszedł z nim do grobu...

E. Zoryan.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Leopold Hauser. Monografia miasta Przemyśla. Przemyśl nakładem braci Jeleniów, 1883 r.

(Dokończenie.)

Musimy tu jeszcze zaznaczyć, że równocześnie z biskupami rzymsko-katolickiemi i władykami wyznania wschodniego Czas jakiś, a mianowicie od 1610 do 1675 r. byli tu jeszcze biskupi obrządku grecko katolickiego. A więc w przeciągu 65 lat, aż trzy biskupstwa egzystowały w Przemyślu, po roku zaś 1675 upadli władycy obrządku greckiego, i pozostało się wyłącznie dwóch biskupów obrządku: rzymsko katolickiego i grecko katolickiego.

Tak znaczna ilość kościołów, klasztorów i cerkwi, musiała bardzo wpłynąć na zubożenie nietylko miasta ale nawet całej dyecezyi, zwłaszcza zaś tyczy się to samego Przemyśla, który oprócz niepokojów wojennych, musiał jeszcze i podtrzymywać klasztory i kościoły.

W aktach miejskich widzimy jak zamożni mieszczanie czynią znaczne zapisy na swoich domach na cele religijne, tak dalece, że z czasem cały zysk z takiej posiadłości zabierają duchowni. Często zaś zdarza się, że wszystkie dochody nieopłacają tych zapisów...

Przygnębiony mieszczanin nie jest w stanie podtrzymywać budowli, które czas powoli niszczył, aż wreszcie opuszczone przez mieszkańca zmieniają się wkrótce w stosy gruzów.

Smutnie przedstawia się Przemyśl po wojnach Szwedzkich.

Obarczony podatkami i kontrybucyami niszczeje tak dalece, że po zaborze, rząd austryacki sprzedaje go w 1778 roku wraz z Bakończycami i innemi dobrami, należącemi do starostwa przemyskiego, hrabiemu Ignacemu z Czertwic Cetnerowi, panu na Podkamieniu i Krakowcu, kawalerowi orła białego.

Były to najsmutniejsze chwile dla Przemyśla, gdyż przestał być miastem wolnem, a głównym rządzcą i kierownikiem, był sam hrabia.

Dopiero za pobytem tu w 1780 i 1788 roku cesarza Józefa II, mieszkańcy miasta Przemyśla wnieśli do niego dwukrotnie petycyę, wskutek której został wydany miastu dnia 30 maja 1789 roku nowy przywilej, nadający mu samodzielne prawa. Przywilej ten nie nadawał Przemyślowi żadnych nowych praw, owszem samorząd jego był ograniczony i zawisły od urzędu cyrkularnego, który rozporządzał ówczesnemi wyborami. Wreszcie cała manipulacya była prowadzoną w języku niemieckim. Pomimo to Przemyśl podniósł się znacznie. Takie rządy trwały do 1855 roku, w którym zaprowadzono w Przemyślu sąd obwodowy i sąd miejsko delegowany, a te objęły odtąd wymiar sprawiedliwości.

Z 1867 rokiem wszystkie stare urzędy zostały zniesione, a zaprowadzona świeżo autonomia przyczyniła się do tym szybszego rozwoju.

Dziś Przemyśl zamieszkuje 20,667 mieszkańców (wedle obliczeń dokonanych 31 grudnia 1880 r.), z tego mężczyzn 9,958, kobiet zaś 10,709.

Podług wyznania:

Rzymssko katolickiego	9,099
Grecko katolickiego	3,898
Ormian	2
Ewangelików	74
Wyznania helweckiego	18
Izraelitów	7,614

W codziennych stosunkach używają języka:

Polskiego	18,617
Mało-ruskiego	1,132
Niemieckiego	887
Czeskiego	27
Słowiańskiego	1
Węgierskiego	3

Tak się sam przedstawia Przemyśl w najnowszych czasach. Jeżeli do tego dodamy przecinające go dwie linie drogi żelaznej, jedną wiodącą z Krakowa do Lwowa, drugą ku granicy węgierskiej, to wtedy otrzymamy całkowity obraz tego miasta.

Zatarł się co prawda dawny charakter, zwłaszcza, że mury go otaczające, rząd austryacki znieść rozkazał jeszcze w 1776 roku: na ich miejsce powstało parę wysuniętych fortów. Niektóre też klasztory zniesiono, a tam gdzie dawniej roznosiło echo modły, dziś młot i para swem hasłem zaznaczają przybytek pracy człowieka.

Gdy do tego dodamy jeszcze zakłady naukowe męzkie i żeńskie, gimnazyum i bibloteki, to będziemy mieli obraz umysłowego życia.

Zwróćmy się jeszcze do pismiennictwa:

W roku 1790 pojawiło się tu pierwsze pismo p. t. „Zabawki literatów w kompanii pożytecznie bawiących się", pisma tego wyszedł zaledwie jeden zeszyt. Od roku 1833 do 1840 wychodził tu „Przyjaciel chrześciańskiej prawdy", sam tytuł dostatecznie świadczy o treści i kierunku pisma. W roku 1857, począł wydawać Kazimierz Józef Turowski pismo literackie „Prawda" i wydał tylko trzy numera. W 1878 roku począł wychodzić „San", czasopismo społeczno ekonomiczne, w pierwszym roku, jako dwótygodnik, od roku 1879, jako tygodnik, wydawany dotąd pod redakcyą Stanisława Koseckiego. Czas jakiś wychodził tu „Urzędnik", dwótygodnik poświęcony sprawom wszelkich urzędników, redakcya jednak z dniem 1 stycznia 1881 roku, zlała się z podobnymże organem wychodzącym we Lwowie p. t. „Prawnik".

Krótko też egzystowały tu dwa pisemka „Nowości" (1880 r.) i „Przemyślanin" (1881 r.), które ukazały się zaledwie w kilkunastu numerach.

Rozejrzawszy się w niektórych szczegółach dziejów Przemyśla, zwrócimy się teraz do samego dzieła.

Pomimo znacznych materyałów, których dostarczyły autorowi Przemyskie archiwa i biblioteki, autor dosyć sucho opowiedział dzieje tego grodu, a co więcej nie wyczerpał jak się należy wszystkich praw i dokumentów. Jest więc to dopiero przygotowany materyał, z którego kiedyś dzielny i biegły badacz skorzystawszy, przy włożeniu jeszcze znacznej pracy ułoży kompletną całość. Język sam także porządnie szwankuje np. „Grzegorz XI *wyjmuje* kościół katolicki z pod jurydykcyi" (str. 184). „*Rok* 1672 *ogląda* Turka Muchameda" (str. 138) „Nie zastaje tu nic coby wskazywało *na istnienie* rzymskiego biskupstwa" (str. 184), „inna odzież jest tam *poszczególniona* (zamiast wyszczególniona) (str. 115) i t. d.

Wiktor Czajewski.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Czytamy w pismach: Zgromadzenia czeladzi szewckiej, zebrawszy się w dzień ś ej Trójcy, rozprawiało o różnych bieżących sprawach, między innemi przypomniano kwestyę corocznego udziału czeladzi w procesyi Bożego Ciała, poczem według dawnego zwyczaju odbywa się biesiada, na koszt kasy zgromadzenia. Otóż w r. b. czeladź zrzekła się poczęstunku, a wyznaczoną na ten cel kwotę 100 rs., złożyła w redakcyi „Kur. Warsz.", przeznaczając na odbudowanie kościoła Św. Trójcy. Postanowienie to, powzięte przez ludzi ciężko pracujących, nie przesyconych zbytkiem i biesiadami, zasługuje na podniesienie i uznanie.

*** W tegorocznym salonie paryzkim wystawione jest wiele dzieł artystów polskich. Bakałowicz dał portret męzki, Brandt scenę z wojen polsko-tureckich z początku XVII wieku. Dwaj kawalerzyści polscy chwytają na arkan wybiegłego przodem z awangardy Turka i ciągną go po stepie. Wspaniałe rumaki ożywione poczuciem walki, konwulsyjne wstrząśnienia jeńca i bogata przyroda stepu porosłego wysoką trawą, oddane są z prawdziwym artyzmem. Chełmoński wystawił niewielkie obrazki: polowanie na lisa i sanie oblężone przez wilki. Znane zalety tego artysty, śmiałość, żywość, bujna fantazya, szeroki pędzel i umiejętność chwytania typów i tu są widoczne, ale znać także i zwykły pośpiech, będący zapewne następstwem wielkiego powodzenia artysty, nie dozwalającego mu wykończać dokładnie swoich utworów. Gerson dał obrazek rodzajowy p. n. „bez nadziei i światła". Merwart dwa studya, jedno z własnego profilu, drugie Mojżesza według legendy hebrajskiej. Piotrowski, polowanie z XVIII wieku. Panna Wisłocka portret Franciszka Duchińskiego. Oprócz wymienionych, katalog Wystawy obejmuje jeszcze wiele dzieł polskich artystów.

*** Podczas wystawy w Louisville odbędzie się obchód jubileuszowy odsieczy wiedeńskiej. Przewodniczącym zawiązanego w tym celu komitetu, jest sędziwy p. Andrzejkowicz, obywatel miejscowy; on zajmuje się ułożeniem programu i przeglądaniem nadsyłanych projektów. Uroczystość obchodzona będzie z możliwą okazałością.

*** Jeneralnym dyrektorem poczt w Stanach Zjednoczonych, mianowanym został John Gresham, ożeniony z Polką, panną Łyskowińską. Przez miłość dla żony, stał się on przez pół Polakiem. Cały dom prowadzony jest po polsku, dzieci mówią równie płynnie po polsku jak po angielsku, Gresham także nauczył się po polsku, pisuje w tym języku do jej rodziny, a nawet z powodzeniem drukuje niekiedy artykuły w miejscowych polskich dziennikach

*** „Germania” podaje iż błędnem jest powszechne mniemanie, jakoby piorunochrony były wynalazkiem amerykanina Franklina, zmarłego w 1790 r. Według tego dziennika, Franklin rozpowszechnił tylko ten tak pożyteczny wynalazek pewnego księdza katolickiego, O. Prokopa Diwisz, Premonstranta, zmarłego w 1765 r. w Czechach, jako proboszcz w Prendicach. Jeszcze w 1765 r. wydał on małą broszurkę, w której dowodził: że płyn elektryczny spływa z ostrych końców metalowych, i tym sposobem wykazał prawo przyrody na którem opiera się własność i działalność konduktora. Cesarzowa Marya Teresa, mówi dalej „Germania”, bardzo się zainteresowała tym wynalazkiem.

„Dnia 15 czerwca 1754 r. ks. Diwisz osadził pierwszy piorunochron na probostwie swojem w Prendicach, ale skromny kapłan nie szukał rozgłosu, nie opublikował w pismach swego wynalazku, więc też wiadomość o piorunochronach rozeszła się dopiero z Ameryki i Franklin zyskał sławę wynalazcy.”

„Germania” nie podaje jednak czy i gdzie istnieją egzemplarze owej broszury, a znana prawość i uczciwość Franklina nie dozwala przypuszczać, aby mógł przywłaszczyć sobie cudzy wynalazek i niezasłużoną sławę. Chyba więc nie wiedząc nic o broszurce, wpadł na ten sam pomysł co ks. Diwisz.

*** Budowa tunelu podmorskiego mającą połączyć Francyę z Anglią koleją żelazną, wstrzymana z polecenia rządu angielskiego dla powodów strategicznych, nie została zaniechaną, dotąd jednak nie zapadło jeszcze stanowcze postanowienie. Ostrożny i przezorny rząd angielski, wyznacza coraz nowe komissye, dla gruntownego zbadania kwestyi, czy w razie wojny groziłoby rzeczywiście Anglii niebezpieczeństwo zbrojnego najścia armii francuzkiej przez tunel podmorski. Jedna z tych komisyi, w skład której, prócz rzeczoznawców, wchodzili przedstawiciele obu Izb parlamentarnych, na posiedzeniu w dniu 24 kwietnia wysłuchała zdania nader kompetentnych znawców, mianowicie: p. Watkin'a, twórcy projektu tunelu i znakomitego inżyniera, p. Bromwell'a.

P. Watkin podał niektóre zajmujące szczegóły o projektowanej eksploatacyi kolei podmorskiej, po której będzie mogło kursować dziennie 250 pociągów pasażerskich i towarowych. Podróż z Anglii do Francyi trwałaby pół godziny. Cała podziemna droga ma być oświetloną światłem elektrycznem; wszystkie towarzystwa dróg żelaznych istniejące na kontynencie i mające jednakową praktykowaną w całej niemal Europie szerokość toru, będą mieć prawo korzystania z tej nowej międzynarodowej arteryi komunikacyjnej. W r. 1882 ruch pasażerski między Anglią i Francyą, wynosił 464,000 osób; p. Watkin jest zdania, iż po otwarciu projektowanej kolei, liczba podróżnych dojdzie rocznie do 4½ milionów. Koszta budowy obliczone są na 3,000,000 funt. szt.

Zapytany w kwestyi środków obranych na przypadek zbrojnego najścia, inżynier Bromwell oświadczył: iż ufortyfikowana komora, z silnemi stalowemi wrotami, poruszanemi maszynami hydraulicznemi, aż nadto byłaby dostateczną do powstrzymania najezdniczych wojsk i zamknięcia tunelu, tak więc budowę jego uważa za pożądaną pod każdym względem.

*** Pomimo, iż Japonia olbrzymim krokiem posuwa się na drodze cywilizacyi, jednakże stanowisko kobiet wiele tam jeszcze pozostawia do życzenia. Kobieta zamężna wtedy tylko jest rzeczywistą panią i gospodynią domu, jeżli zdoła zaskarbić sobie łaski swego pana i męża — w przeciwnym razie każdej chwili wolno mu jest po prostu odesłać ją do rodziców, zatrzymując dzieci, których jest matką. Wtedy mąż bierze sobie inną żonę, a opuszczona stara się znaleźć sobie drugiego męża, co jednak zazwyczaj udaje się tylko bardzo młodym i ładnym. Często rodzina męża stara się poróżnić małżeństwo i namawia go do rozłączenia się z żoną. Jednak jeżli kobieta potrafi zjednać sobie i utrzymać do starości miłość męża, wtedy posiada większy daleko wpływ i poważanie w rodzinie, zdanie jej ma wielkie znaczenie i dzieci otaczają ją tkliwem przywiązaniem.

Każdy Japończyk, nawet zatrzymując pierwszą żonę, ma prawo pojąć jeszcze pewną liczbę innych nazywających się drugiemi żonami. Mikado, ma takich „dam pałacowych” *naiszi* około dwunastu. Dajmiosom czyli książętom wolno ich mieć po sześć. Bywają to zazwyczaj córki najznakomitszych rodzin, a niekiedy i dziewczęta klas niższych ale w takim tylko razie, jeżli odznaczają się niezwykłą pięknością.

W razie śmierci męża, żona poświęca cieniom jego najpiękniejszą swoją ozdobę — włosy. Choćby najmłodsza obcina je krótko i nigdy już odrastać im nie daje. A nie mała to ofiara, gdyż Japonki nader starannie pielęgnują i układają swe włosy, zdobiąc je kwiatami, klejnotami i najrozmaitszemi ozdobami — przecież nawet najznakomitsze damy i księżne, nie uchylają się od tego zwyczaju.

*** Jak wiadomo Amerykanie wytępili setki tysięcy Indyan — a nazywało się to pracą nad ich ucywilizowaniem. I rzeczywiście pozostała resztka przyjmuje powoli cywilizacyę europejską. Na południu Stanów Missouri, Kanzas i Arkanzas, osiadło indyjskie plemie Cherokles liczące przeszło 20,000 głów, które zupełnie prawie zarzuciło zwyczaje i sposób życia przodków. W całem plemieniu znajduje się obecnie tylko szesnastu mężczyzn, którzy, jak dawniej, trudnią się wyłącznie polowaniem — inni osiedli na roli. Mają swoje władze, jak inne Stany amerykańskie, różne zakłady dobroczynne i 107 szkół, w których dzieci ich uczą się po angielsku.

Obecnie dzienniki amerykańskie donoszą, iż obecnie jeden z byłych wychowańców tych naukowych zakładów, otrzymał w uniwersytecie Nowoyorskim stopień doktora filozofii.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. K. L. Bajka dla „Przyjaciela” p. t. Fijołek i Róża, ma dążność moralną bardzo niewyraźną. W drugim p. t. Wiem co zrobię! w formie są niedostatki trudne do usunięcia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Мая 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

— Cóż robić; rujnuje nas podatek od drzwi do okien.

— Zarówno jak i inne, panie margrabio. Nie dość już że pan i ja musimy płacić podatek osobisty, trzebaż jeszcze było nakładać go i na psów.

— A bylibyśmy tej zimy tak szczęśliwi i spokojni, mój poczciwy Pieyrard'zie! Zebrane zboże wystarczyłoby dla nas i dla Klodiona; a prócz tego mamy przecie pare korcy kartofli, baryłkę jabłeczniku i dwa worki orzechów... z takiemi zapasami można nie troszczyć się o nic.

— Nie ma spokoju i szczęścia dla ludzi uczciwych, panie margrabio; doprawdy niebo jest niesprawiedliwe.

— Nie mów tego, Pieyrard'zie; Bóg jest dobry i sprawiedliwy, a i ludzie nawet nie są tak źli jak się zdaje... Tylko bywają fatalizmy...

— Już tam nie wiem co bywa, panie margrabio, wiem tylko że gdybym był odebrał te trzysta franków, byłbym ich użył na lepszy cel niż płacenie niesłusznych podatków... Najpierw chciałem panu zrobić niespodziankę i kupić w Lude smaczną pieczeń — tak dla pana niezbędną.

— Dla mnie? cóż znowu!

— A ma się rozumieć! Serce mi się ściska patrząc jak pan pobladł i wyszczuplał... W pana wieku mięso jest niezbędnem.,. Taki stary jak ja, może poprzestać na kartoflach i żyć mięsem kiedyś zjedzonem... ale w dwadzieścia pięć lat wieku, żywność taka zabija.

— O! mnie nie to zabija, Pieyrard'zie.

— A cóż takiego?

— Smutek i wspomnienia... Ale gdzież Klodion?

— Widziałem go przed chwilą biegnącego ku wielkiemu kasztanowi.

— W stronę Bois Rénard — rozumiem. O tej właśnie porze wychodzą króliki — Klodion będzie miał pożywniejszy obiad niż my.

W tejże chwili dało się słyszeć głośne szczekanie od strony Bois-Rénard, które ucichło niebawem, i w parę minut potem, Klodion pędził ku bramie — tym razem nie sam. Niósł w pysku wielkiego królika i jako pies wierny i nie egoista, złożył swój łup u nóg pana.

— Zastąpi to żądaną pieczeń, Pieyrard'zie.

Przyrządzenie obiadu nie długo trwało; za godzinę Pieyrad podał na stół dobrze przyrządzoną potrawkę z królika, obok której postawił butelkę jabłecznika. Jan nie był jeszcze w tym wieku kiedy to zmartwienie odbiera apetyt. Nie chcąc zaczynać od niewdzięczności tej nie codzień zdarzającej się uczty, najpierw podał kawałek królika Klodionowi, który przyjął go bez najmniejszej ceremonii; potem kucharzowi który wzdragał się i wymawiał, i tylko na wyraźny rozkaz pana musiał usiąść naprzeciw niego przy stole. Deser nie był zbytkowny; kilkanaście świeżych orzechów i szklanka szumiącego jabłeczniku — oto wszystko.

Gdy już Pieyrard sprzątnął ze stołu resztę potrawki, Jan pomyślał sobie:

„Już od sześciu miesięcy nie paliłem cygar, za to gdybym kiedykolwiek został bogatym...

W tem Pieyrard powrócił z nader uroczystą miną, i zbliżywszy się powoli do margrabiego, postawił przed nim talerz z herbem jego rodu — jedyny zabytek dawnej świetności. Na talerzu leżały dwa doskonałe cygara.

Zdziwiony niewymownie, margrabia patrzył to na cygara to na Pieyrard'a.

— Skądże ich wziąłeś? zapytał nareszcie.

— A no kupiłem w Lude, panie margrabio.

— Bez pieniędzy?

— Oto jak się rzecz miała, odrzekł z pewnem zakłopotaniem. Wiadomo panu że byłem za młodu cieślą; otóż wracając od matki Honoraty, zobaczyłem kołodzieja Leris pracującego przed domem. Wbrew swemu zwyczajowi, nie przerwał roboty żeby trochę pogawędzić ze mną. — Tak wam coś pilno, rzekłem, że nie chcecie nawet spojrzeć na dobrych przyjaciół? — Pogadałoby się chętnie, odrzekł, ale istotnie robota bardzo pilna bo jarmark przypada za dwa dni. — No, ojcze Leris, pomógłbym ci chętnie, nie żądając tysiąca franków zarobnego.—I owszem, ociosaj ten dyszel.—Pracowałem z przyjemnością pare godzin i dlatego też późno wróciłem; a że Leris jest uczciwy i sumienny, zapłacił mi dwa franki.. Miałem zamiar przynieść ich tu nienaruszone, ale gdy przechodziłem przed sklepem z tytuniem, dystrybutor poznał mnie i zaczepił, mówiąc: — Cóż to, zaprzestano u was palić? przecież należy popierać handel — To też odpowiedziałem, właśnie przychodzę do pana po paczkę taniego tytuniu, po fajkę i dwa najlepsze cygara — i oto skąd się wzięły leżące przed panem na talerzu. Chcąc zrobić panu margrabiemu niespodziankę, nie mówiłem nic i podałem dopiero przy wetach.

Jan milcząc uścisnął dłoń starego towarzysza; poczem wziął jedno cygaro a jemu chciał podać drugie.

— O! nie, dziękuję, to za mdłe dla mnie.. jeźli pan pozwoli, wyjdę przed dom, nałożę sobie tę nową fajkę prostym tytuniem i wypalę.

— Dobrze, kochany Pieyrard'zie, tylko nie przed domem ale obok mnie, i nie z tej nowej glinianej fajki... poczekaj trochę.

Młody margrabia wstał i zwrócił się do ściany obok swego łóżka, na której jakby trofea róźwieszone były dwa pistolety, dwie szpady, krzyż św. Ludwika, krzyż legii honorowej i wielka fajka porcelanowa. Jan zdjął ją i podając Pieyrard'owi, rzekł:

— Z tej tytuń lepiej ci smakować będzie.

— Fajka nioboszczyka pana margrabiego! zawołał Pieyrard.

— Tak, przyjm ją odemnie, Pieyrard'zie.

Stary żołnierz podziękował z rozrzewnieniem i zaczął nakładać.

Klodion który dotąd spożywał w milczeniu wydzieloną sobie część królika, zaczął skowyczeć żałośnie, zwróciwszy łeb ku kominowi.

— Zimno mu, zawołał Jan; wiesz co Pieyrard, kiedy używać to używać, przynieś gałęzi i rozpal na kominku.

Niezadługo suty ogień zapłonął w ogromnym kominie; Jan zasiadł z jednej strony w wielkim dębowym fotelu, drugi wskazał Pieyrard'owi, a Klodion rozłożył się we środku, pomiędzy swoim panem i jego towarzyszem, zwróciwszy łeb ku ogniu. Dym z cygara Jana i fajki Pieyrard'a, wznosił się z obu stron wielkiego białego komina, i poczerwieniony od płomienia, łącząc się w jedną kolumnę zdawał się kadzidłem płonącem na cześć herbu Lizardière'ów.

Pieyrard palił milcząc, zatopiony w głębokiej zadumie—widać przychodziły mu na myśl dawne czasy i wspomnienia. Po chwili zaczął mówić jakby do siebie:

— Widziałem jak nieboszczyk pan margrabia płakał paląc tę fajkę. Byłem jego ordynansem kiedy był kapitanem szwadronu towarzyszącego Karolowi X do Cherburga. Gdy znikł z horyzontu okręt unoszący króla na wygnanie, pan margrabia zbladł i przygryzał wąsy, potem wyjął szpadę, złamał ostrze i wrzucił w morze. Zdawało się że stoi przykuty do miejsca... nagle wysiłkiem woli postąpił kilka kroków, usiadł na poblizkim kamieniu, i nałożywszy tę fajkę, zaczął ją palić zapatrzony w morze a po twarzy jego dwie wielkie łzy spłynęły...

To powiedziawszy wstał, gdyż on skończył palić fajkę a Jan cygaro. Młody margrabia raz jeszcze uścisnął dłoń starca, poczem rozebrał się i położył w łożu swoich naddziadów, a Klodion rozciągnął się bez ceremonii przed dogasającem ogniskiem.

Pomimo wrażeń w dniu tym doznanych, Jan zasnął niebawem i długo spał spokojnie — aż nagle krzyknął i przebudził się; śniło mu się że wysoka młoda blondynka, porwała i uciekała z wyjącym rozpaczliwie Klodionem. Powiódł okiem do koła i nie mógł powstrzymać uśmiechu zobaczywszy wiernego psa leżącego przed kominem, marzącego zapewnie słodko o królikach z Bois-Rénard.

IV.

Poczciwy komornik.

Nazajutrz obudziwszy się dość późno, Jan usłyszał jakiś obcy głos na dziedzińcu. Wstał i ubrawszy się prędko wyszedł przed dom; zobaczył zaraz jakiegoś młodego człowieka rozmawiającego z Pieyrard'em, który zbliżył się do niego z głębokim ukłonem.

— Pan margrabia mnie nie poznaje, jestem Franciszek Deschamel, komornik z Noyant. Prosiłem Pieyrard'a aby pana nie budził — zawsze dość czasu aby się czegoś przykrego dowiedzieć. Chcąc wzbudzić w panu margrabim zaufanie, powiem najpierw kto jestem. Matka moja była gospodynią w fermie Ducondray, i umarła gdy miałem lat ośm. Co się tycze mego ojca...

Tu przerwał mowę z wyrazem boleści, niemal wstydu...

— Dość że wszyscy widrwiwali mnie i odtrącili, a inne dzieci szturgały i biły... jedna tylko niebosz-

czka matka pana margrabiego ulitowała się nademną. Ona to oddała mnie do szkoły, a następnie umieściła u proboszcza de Braye, który nauczył mnie trochę łaciny; tym sposobem umiałem dosyć odnośnie do mego stanu i wieku. Pewnego dnia straszną rzecz zobaczyłem we wsi — wywłaszczano biednych chłopów, nie mogących uiścić jakiegoś podatku.

Komornik tak nieludzko obchodził się z nimi, iż brała mnie ochota wytłuc go porządnie, ale byłem za mały i za słaby. Jednakże fakt ten głęboko wyrył się w mojej pamięci, i dlatego gdy dorosłszy miałem obierać sobie zawód, postanowiłem zostać komornikiem, dlatego jedynie abym mógł postępować wręcz przeciwnie jak tamten. Mając lat dwadzieścia udałem się do Tours, tam uczyłem się prawa i zdawszy przed rokiem egzamin, kupiłem kancelaryę komornika w Noyant. Jeźli nie udaje mi się robić tyle dobrego ilebym pragnął, to przynajmniej wiele złego nie dopuścić mogę. Uzyskuję zwłokę dla nieszczęśliwych dłużników których mi egzekwować każą; nielitościwym bogaczom wyrzucam brak chrześciańskiego miłosierdzia. Jeźli w żaden sposób nie można uniknąć wywłaszczenia, wtedy na wiele rzeczy zamykam oczy, a gdy jakiś wypędzony biedak, zabiera ze swej chudoby parę worków zboża lub kilka butelek jabłecznika i ucieka z nimi, nigdy dogonić go nie mogę.

— Jesteś poczciwym człowiekiem, panie Franciszku, i gdyby było więcej podobnych tobie komorników...

— Ale, niestety! panie margrabio, jest jeden wierzyciel którego ani podejść ani rozczulić nie mogę, i oto dlaczego tu przybyłem.

— Rozumiem, nie zapłaciłem jeszcze podatków.

— Tak, i już dwa wezwania wręczono panu margrabiemu; trzecie pociąga za sobą zajęcie ruchomości i nieruchemości — i wczoraj właśnie nadesłał mi je poborca z Noyant. Oto jest.

— Niepodobna mi zapłacić, panie Franciszku.

— Domyślałem się tego i dlatego prosiłem pana poborcy o zwłokę. Nie zły to człowiek i byłby przystał chętnie, ale nalega na niego poborca okręgowy, którego znowu przynagla kontroler jeneralny... Z tego powodu niepodobna uzyskać odłożenia terminu zapłaty; skarb jest jak owe koło w maszynie, które wnet zmiażdży co tylko pochwyci.

— Cóż więc będzie, panie Franciszku?

— Niestety! panie margrabio, z mocy nakazu sądowego Lizardière zostanie sprzedane przez licytacyę, w powiatowem mieście Baugé.

— Aby nie dopuścić tej sprzedarzy, zrobię co dawno postanowiłem sobie uczynić w takim razie— podpalę zamek i tylko stos gruzów z niego pozostanie! odrzekł Jan z dzikiem postanowieniem.

— Nie może pan margrabia tego uczynić; Lizardière jest zabezpieczeniem należności skarbowej, przeto za podpalenie jej byłby pan pociągnięty do odpowiedzialności kryminalnej. A zresztą, wszakże skarb jest wierzycielem jak każdy inny, i dług należny mu obowiązuje zarówno jak każdy dług prywatny.

— Masz pan słuszność, odrzekł znękany, wszystko stracone.

— Nie jeszcze, gdyż pozostaje jeden środek...

— Jaki?

Franciszek zawahał się z odpowiedzią; w twarzy jego widać było wielkie zakłopotanie, nareszcie się odważył.

— Panie margrabio, przychodzę tu, nie oddać przysługę, ale prosić abyś mi wielką wyświadczył łaskę. Znam w Noyant uczciwą dziewczynę szwaczkę, i postanowiłem sobie ożenić się z nią jak tylko uzbieram nieco grosza. Otóż, proszę pana, boję się trochę żebym się nie wdał w jaką niedorzeczność— a co u młodych nie trudno—i żebym swoich oszczędności nie stracił. Chciej więc pan margrabia uwolnić mnie od tego niepokoju, przyjmując te pareset franków; zapłaci pan poborcy zaległy podatek, a za rok dwa lub trzy odda mi pan, z procentem ma się rozumieć — o! bo w interesach jestem bardzo ścisły. Oto o co przyjechałem prosić pana margrabiego.

— Jesteś zacnym człowiekiem, Franciszku, cenię poczciwą uczynność twoją, ale korzystać z niej sumienie mi nie pozwala, gdyż nie miałbym z czego oddać wziętych od ciebie pieniędzy.

— Ależ panie margrabio...

— Nie nalegaj, proszę, gdyż przykrość mi to sprawia... Więc kiedyż Lizardière ma być sprzedane?

— Za pięć lub sześć dni, w biurze sądowem.

— Dobrze, dziękuję ci.

Żegnam pana margrabiego i proszę chciej pan się zastanowić, a ja...

— Bywaj zdrów, zacny, poczciwy Franciszku; ale rozmysł tu zbyteczny, raz jeszcze dziękuję ci najserdeczniej, ale przyjąć nie mogę. Bóg z tobą.

Uścisnął dłoń komornika, i nagle odwracając się wszedł do zamku — zapewnie aby ukryć łzy jakie w oczach jego zabłysły. Franciszek się oddalił, ale doszedłszy miejsca w którem droga rozdziela się na dwie strony, prowadząc na lewo do Lude a w prawo do Marcilly, zwrócił się na prawo. Uszedłszy kawałek, zatrzymał się zamyślony.

— Ach! nie! jeszcze nie wszystko stracone, rzekł uderzając się w czoło; — i zamiast ku Noyant szedł dalej ku Marcilly, tożsamą drogą jaką przebywała wczoraj rodzina Désormes.

V

Niedobra kuzynka.

Jan zwrócił się ku kapliczce, do której wszedłszy nie zamknął drzwi za sobą. Klęczał długo przed grobowcem rodziców, następnie wstając zwolna jakby z obawy naruszenia ich spokoju, wszedł i usiadł w ławce dębowej w której siadywała jego matka, i biorąc z klęcznika zdobną herbami książkę *O Naśladowaniu Chrystusa*, zaczął ją czytać, z początku uważnie, potem z roztargnieniem, jakby znękany za nadto, nie rozumiał i myśléć nie był zdolny.

Już od dwóch może godzin siedział tak zatopiony w posępnej zadumie, i nie spostrzegł że ktoś wszedł do kaplicy. Była to kobieta lat może około czterdziestu, brunetka, wysoka, cała postawa miała w sobie coś pańskiego; wyraz nieopisanej dobroci łagodził blask jej wielkich czarnych oczu. Długo, z widocznem wzruszeniem wpatrywała się w młodego margrabiego zatopionego w czytaniu czy raczej w smutnem rozmyślaniu, nareszcie przysunęła się do niego i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekła tylko:

— Chodź, mój kuzynie.

Jan podniósł głowę i poznawszy poszedł za nią; weszli razem do owej wielkiej sali na pierwszem piętrze.

— Siadaj, mój kuzynie, i chciej posłuchać mnie nie przerywając. Franciszek, komornik z Noyant, był w Marcilly, i zawiadomił nas o wszystkiem; przychodzę zawiadomić cię cośmy oboje z mężem uradzili. Ale najpierw, przypomnij sobie, iż kiedy poszłam za kuzyna twego, hrabiego de Chazé, byłeś jeszcze dzieckiem; widząc żeś pojętny i dobry, żywo zajęłam się tobą i postanowiłam zostać twoją nauczycielką. Uczyłam cię więc czytać, pisać, rachować, gramatyki, historyi, jeografii, słowem wszystkiego co umiałam. Na nieszczęście byłeś nietylko pojętnym i dobrym, ale też niedbałym marzycielem. To też gdy nie chciałeś uważać i uczyć się, za karę nie dawałam ci wetów. Ilekroć miało to miejsce, unosiłeś się gniewem, wołając: „Och! niedobra kuzynka!"

Otóż ta sama niedobra kuzynka, przybywa dziś aby cię łająć. Prowadzisz tu życie niegodne człowieka odważnego, potomka znakomitego rodu. Pojmuję przywiązanie twoje do minionej przeszłości, podzielam smutek, rozumiem gorycz jaką budzą w sercu dawne wspomnienia — ale potępiam brak odwagi i niedbalstwo o własną przyszłość. Gdy ja i hrabia de Chazé nalegaliśmy na ciebie o obranie sobie jakiegoś zawodu, na dobre rady odpowiedziałeś gniewnie i pogardliwie; nie dość na tem, gdy chciał przyjść ci z pomocą, obraziłeś go wyniosłą odmową. Nie mamy do ciebie żalu—smutnym i cierpiącym przebacza się wiele... a zresztą oczekiwaliśmy bolesnej ostateczności, jaka koniecznie nastąpić musiała. Teraz więc w imie Boga, rodziny, będącej Jego przedstawicielką na ziemi, powinniśmy ratować cię i podnieść z upadku. Masz dwie wielkie wady, mój kuzynie, pychę i lenistwo—z obu można się uleczyć, za pomocą jednego lekarstwa, jakiem jest: praca! Oj! zaczynasz coś marszczyć brwi, kuzynie, i pewnie zawołasz jak niegdyś: Och! niedobra kuzynka!

— Nie, kuzynko Krystyno, odrzekł Jan z uśmiechem.

— Słuchaj co powie kuzynka Krystyna. Za pięć dni mają sprzedać Lizardière. Cena do licytacyi oznaczona jest trzysta franków, to jest tyle ile wynosi dług skarbowy, i można być pewnym że nikt nie postąpi więcej nad 15,000 fr. Jakkolwiek majątek nasz składa się głównie z dóbr, jednakże hrabia de Chazé ma trochę gotówki, więc kupi Lizardière. Wiesz iż jest bardzo lubiony i szanowany w okolicy, nikt więc zapewnie nie będzie mu przeszkadzał. Grunt i zamek staną się zakładem, który zatrzyma dopokąd własną pracą nie zarobisz tyle, aby mu zwrócić wyłożony kapitał.

— Ale cóż ja i jakim sposobem mogę zapracować?

— Zaraz ci powiem. Jesteś, a przynajmniej byłeś malarzem, dopokąd nie wyrzekłeś się wszelkich poważnych zajęć. Hrabia miał zamiar kazać ozdobić malowidłami zbrojownię, wielki salon i salę jadalną; przybędziesz więc do Marcilly i wraz z Pieyrard'em i Klodionem zamieszkasz w małym pałacyku. Pracować będziesz codziennie nad przyozdobieniem starego naszego gniazda, a gdy już tego dokonasz, wtedy oceni się wartość twej pracy, żeby zaś nie zadrasnąć twojej pychy, zawezwiemy do tego *biegłych*.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Innym znów razem zwrócił uwagę Teodory że falbana u czarnej materyalnej sukni którą miała na sobie, była wyszarpana.

— Nieznośna rzecz! zawołała; zdaje mi się że wszystkie klamki i meble sprzysięgły się na moje suknie. Szczęściem umiem sobie poradzić w takim razie.

Mówiąc to wzięła kawałek czarnej angielskiej kitajki, podkleiła nią z lewej strony miejsce uszkodzone, z wprawą i zręcznością dowodzącą że często w ten sposób naprawiała suknie.

— Więc nie szyjesz nigdy? zawołał Fryderyk wcale niezachwycony tym jej wynalazkiem.

— Nigdy, jeźli tylko mogę się uchronić od tego. Prócz roboty na drutach, nie znam już nieznośniejszego zajęcia, dlatego też nie mogę się pochwalić że umiem szyć lub robić pończochy. Mama nie jest pod tym względem uczeńszą odemnie, przez całe życie obchodziła się bez tych cennych talentów, dla czego więc nie miałabym pójść za jej przykładem?.. Czemu patrzysz na mnie tak dziwnie, jeźli zapytać wolno?

— Ponieważ wyobraziłem sobie przerażenie opiekuńczych duchów mego rodzinnego domu, gdyby usłyszały podobne słowa wychodzące z ust przyszłej pani Gahlen. Czy znasz to upowszechnione zdanie które często powtarzano u nas: „Panna nie powinna iść za mąż dopóki nie zrobi sobie na wyprawę dwónastu tuzinów pończoch.

— Sprawiedliwe nieba! W takim razie z pewnością zostałabym starą panną!

Teodora mówiąc to nie mogła powstrzymać się od śmiechu: przypomniała sobie te podarte pończochy w które ubrała się idąc z Fryderykiem na wieczór.

— Bądź co bądź, odpowiedział poważnie Fryderyk, trudno zaprzeczyć że podobne wymaganie ma swoją dobrą stronę; skoro młoda panienka potrafi znaleźć sobie czas na zrobienie dwónastu tuzinów pończoch, można rachować na to że jest obdarzona skrzętną i cichą pracowitością, bez której kobieta nie może być prawdziwą kobietą.

— Może to być, odpowiedziała Teodora trochę zniecierpliwiona tą nauczką, ale nie licz na to aby podobne upodobania mogły kiedyś wyrobić się we mnie.

Następnie chcąc otrząsnąć się z niemiłego wrażenia wywołanego tą rozmową, zwróciła myśl do przedmiotów zajmujących ją zwykle.

— Patrz, rzekła biorąc ze stołu piękny staloryt, jakie to mistrzowskie wykonanie.

Fryderyk wyciągnął machinalnie rękę do wskazywanego mu przez nią sztychu, ale znać było że nie zwraca na niego uwagi. Teodora była zbyt bystra i przenikliwa aby to mogło ujść jej uwagi, dlatego też odsunęła rycinę zasłaniającą jej trochę zasępioną twarz narzeczonego, i rzekła zniżonym i pełnem słodyczy głosem:

— Czy opiekuńcze duchy twego rodzinnego domu są tak groźne, że aby im się nie narazić, zamierzasz poznajomić mnie z nimi wtenczas dopiero gdy zrobię dwanaście tuzinów pończoch?

Młody profesor słysząc to pytanie wypowiedziane nieśmiało, zapomniał o pończochach, szyciu i rodzinnym domu, i nie widział już nic prócz uroczej twarzyczki ku niemu pochylonej. Ileż to szczęścia i miłości obiecywały mu te czarne zachwycające oczy, i czegóż mu było trzeba więcej aby znaleźć raj na ziemi.

III.

Rodzina Gahlen'ów.

— Czy nie napiszemy razem do mej matki, droga Teodoro? zapytał Fayderyk, gdy się oświadczył i został przyjętym, a młoda narzeczona spełniła najchętniej jego życzenie zgadzające się zresztą z jej własnem. Myśl zbliżenia się z tą tak uwielbianą przez Fryderyka jego matką, napełniła radością jej szlachetne serce, dlatego też krótki jej liścik składał się tylko z pełnych zapału wynurzeń przejmującego ją szczęścia.

Fryderyk czytając ten list który miał posłać w swoim, żałował że prosił narzeczonej aby go napisała. Pomimo swego szacunku i przywiązania do matki, znał jej wady i słabości, które wycisnęły mu nie jedną łzę z oczu w jego dziecinnych latach. Wiedział że pani Gahlen ceniła nadewszystko siłę charakteru, a miała wstręt do wszelkich oznak czułości. Co powie czytając ten list przyszłej synowej, tak wymownie świadczący że posiada duszę namiętną, nie umiejącą ukrywać swych uczuć i wrażeń? W pierwszej chwili miał zamiar dopisać kilka wierszy w celu usprawiedliwienia narzeczonej, ale zmiarkował wkrótce że to pogorszyłoby jeszcze sprawę, i wolał spuścić się na przeznaczenie, a zwłaszcza na szczere przywiązanie do niego całej rodziny, którego cząstka spadnie i na Teodorę.

Pośpieszmy za tym niepokojącym listem aż na miejsce jego przeznaczenia, a nawet wyprzedzimy go o pare godzin, abyśmy mieli czas poznać stary dom Gahlen'ów i mieszkańców jego.

Jak we wszystkich prawie małych miastach tak i w M. rynek stanowił najcelniejszy i środkowy punkt miasta, od którego rozchodziły się główne jego ulice. W koło rynku ciągnęły się sznurem świeżo pomalowane wysokie domy z czerwonemi dachami, stanowiące uderzającą sprzeczność z pamiętającym odległe wieki ratuszem, z poczerniałą od starości fasadą i gotyckiemi wieżyczkami, spoglądającemi z góry na swych wyświeżonych sąsiadów. Jeden z nich wszakże, dzięki swym starożytnym dębowym krużgankom i wieżyczkom sterczącym w rogach, nieustępował mu nic pod względem uroczystej i trochę posępnej powagi.

Dom Gahlen'ów odsunięty trochę od nowszych od niego domów stojących w rynku, otoczony prawie dokoła dość dużym ogrodem, zdawał się okazywać że między nim a płochemi jego sąsiadami nie ma nic wspólnego. Jedynie z apteki, do której wchodziło się po szerokich schodach z ciosowego kamienia, ciekawe oko mogło widzieć wnętrze tego domu, tak dobrze zabezpieczonego od natrętnych spojrzeń. Nad oszkloną wystawą sklepu znajdował się orzeł z rozpostartemi skrzydłami, jakby obiecywał pomoc skuteczną chorym, wzywającym jej od niego. Wewnątrz apteki porcelanowe słoje stały rzędem na politurowanych dębowych półkach, a naprzeciwko nich ciągnęły się szeregi różnej wielkości flaszek. Wielki okrągły zegar, idący tak cicho jakby nie chciał zakłócać spokoju tego zdrowiodawczego miejsca, królował w pośrodku, a nad nim unosił się znów orzeł, młodszy brat znajdującego się nad drzwiami, i w pozłacanym dziobie trzymał flaszkę bujającą w powietrzu. Na kantorze stały różnej wielkości wagi, a za drewnianą kratą stał zawsze aptekarz lub subiekt przed wielkiemi księgami, o których starości i licznych usługach, dawały wymowne świadectwo czerwone mocno wyblakłe okładki.

Powietrze przesycone zapachem ziół i różnorodnych lekarstw, nie tylko że zapełniało aptekę, ale dostawało się do sieni, a z tamtąd wkradało się do najdalszych zakątków starego domu. Mury jego tak już przesiąkły tym zapachem, że zdawał się stanowić nierozłączną z nim całość.

Szerokie drewniane schody, których poręcz, pomimo gróźb i gniewu matek, zastępowała zawsze konia młodym pokoleniom Gahlen'ów, wiodły na pierwsze piętro, a z tamtąd do obszernego przedpokoju ze staroświeckiemi szafami i wielkim zegarem, nie idącym tak cicho i potulnie jak jego sąsiad w aptece, ale przeciwnie tak głośno jakby przypominał ciągle że jest w tym domu wszechwładnym panem, do którego rozkazów wszyscy stosować się muszą. Z tego przedpokoju wchodziło się do pokojów zajmowanych przez panią Gahlen wraz z jej niezamężnemi córkami i najmłodszym synem, oddzielonych długim korytarzem od mieszkania jej zięcia, Jana Altmann, męża jej najstarszej córki, pięknej Róży, zarządzającego apteką od śmierci pana Gahlen.

W ulubionym pokoju pani Gahlen, słońce wbiegając przez głębokie framugi okien, padało na meble, których pociemniałe pod wpływem czasu drzewo, odpowiadało wybornie staroświeckim ich kształtom. Pękate komody z bronzowemi galeryjkami i antabami, stały na lwich łapach, a pyzate twarzyczki aniołków uśmiechały się nad zawiasami szaf, i na srebrnych ramach lustra przysłoniętego do połowy śnieżnej białości firanką. Posadzka nie znała nigdy wosku lub jakiejbądź farby, a całą jej ozdobę stanowił wązki dywanik leżący przed sofą, której sztywna powierzchowność nie obiecywała wygodnego spoczynku.

Z tego pokoju wchodzi się do salonu prawie zawsze zamkniętego, w którym stoją meble z poręczami z pozłacanego drzewa, pokryte kosztownem obiciem; tylko że wspaniałości ich nie dozwalają widzieć pokrowce, zdejmowane tylko w razie niezwykłych uroczystości. W sali jadalnej nie ma nic prócz niezbędnie potrzebnych rzeczy: dużego stołu dębowego i takichże samych krzeseł. Cała rodzina schodzi się tam w ściśle oznaczonych godzinach, gdyż pani Gahlen połajałaby ostro tego ktoby jej kazał czekać na siebie.

Matka Fryderyka panuje despotycznie w tym domu, karcąc surowo wszelkie przekroczenie przeciwko porządkowi lub oszczędności. Wchodzi właśnie do swego pokoju, którego podłogę słońce posypało cieniami winnych liści oplatających okna. W ogóle słońce nie jest pożądanym gościem w tym domu; zarzucają mu że od niego płowieją meble i obicia, oraz że przyciąga muchy, pomimo to wchodzi tam zawsze i odmładza stare mury swem wesołem światłem.

Silną budowę ciała pani Gahlen, przechodzącej przez pokój szybkim i pewnym krokiem, uwydatnia jeszcze lepiej ciężar który niesie bez najmniejszego wytężenia. Jej podwójny podbródek opiera się na stosie świeżo uprasowanej bielizny, którą podtrzymuje aby się nie rozleciała. Położyła swój skarb na dębowym stole i odczepiwszy od pasa duży pęk kluczy, otworzyła do szafy której półki napełnione

bielizną stanowiły widok zachwycający dla tak dobrej jak ona gospodyni. Jej błękitne, żywe oczy, przebiegły kolejno wszystkie półki nie znajdując nigdzie nic do poprawienia; każdy tuzin serwet związany różową wstążeczką leżał na swym obrusie, a poszewki na oznaczonych tymże samym numerem co one prześcieradłach. Zadowolona że wszystko znalazła w porządku, zaczęła układać starannie przyniesioną przez siebie bieliznę, przesuwając z prawdziwą przyjemnością rękę po cienkich holenderskich obrusach. Następnie, skoro już wszystko było na właściwem sobie miejscu, zamknęła szafę i miała wyjść z pokoju, gdy nagle brwi jej zmarszczyły się groźnie i zatrzymała się przy progu:

— Marysiu! zawołała rozkazującym głosem.

Za chwilę wbiegła do pokoju młoda dziewczyna niespokojna i zmieszana.

— Źle dziś kurz pościerałaś, rzekła surowo pani Gahlen; patrz na tę komodę, jaka tam została smuga; a tu — przesunęła wskazujący palec po brzegu ramy, a następnie zapylony wyciągnęła groźnie ku winowajczyni.—Czy nie masz oczu? Strzeż się, nie przestrzegam nigdy dwa razy. Teraz idź wyjmować dusze z ognia, a później będziesz mi pomagać w kuchni.

Służąca wybąkała nieśmiało: „Dobrze, proszę pani," i pośpieszyła do wyznaczonej roboty.

Głosy wychodzące z pralni oznajmiają, że znajdziemy tam inne osoby należące do tej rodziny. Rzeczywiście, zastajemy tam przy długim stole pokrytym grubem suknem, cztery młode osoby rurkujące i prasujące zręcznie i gorliwie, poukładane wzdłuż ściany, gładkie i połyskujące kołnierzyki, mankiety, kuszule, chustki, dowodzą że już wiele godzin poświęciły tej pracy. I teraz także nie próżnują, ale korzystając z nieobecności matki rozmawiają z sobą żywiej i swobodniej.

— Wszak byłaś wczoraj, Róziu, u Anny Sandorf, odezwała się Zofia, której twarz pomimo regularnych rysów, nie miała w sobie nic pociągającego. Czy nie wiesz co dostała na swe urodziny od narzeczonego?

— Zapewnie, według zwyczaju dał jej jakiś przedmiot sztuki; nie pojmuję doprawdy jaką przyjemność może sprawić taki podarunek, odpowiedziała Róża, najstarsza z siostr, kobieta ładna i młoda, z cerą olśniewającą i świeżą.

— Ale, Różo, on dał jej teraz przepyszny sztych przedstawiający Madonę Syxtyńską, zawołała Helena, powabna szesnastoletnia panienka, z fizyognomią ruchliwą i wyrazistą.

— Madonę Syxtyńską! I cóż to znaczy? rzekła Róża wzruszając ramionami. Wolałabym już obrazek przedstawiający coś przypominającego nasze codzienne życie.

Helena spojrzała tylko z uśmiechem na stojącą obok niej młodziuchną, bladą panienkę, wychowaną przez panią Gahlen, i którą nazywano kuzynką Joanną, ale Zofia zowołała z oburzeniem.

— Doprawdy, Różo, wielkie to szczęście że cię nikt obcy nie słyszy, bo wstydziłabym się za ciebie. Wyrażać się w ten sposób o Madonie Rafaela, jestto coś przechodzącego wszelkie granice!

Oburzenie siostry przezwanej przez rodzeństwo *sawantką*, nie sprawiło żadnego wrażenia na Róży, która odpowiedziała śmiejąc się głośno:

Tak, Fifi, smutna to rzecz posiadać mniej wiadomości od swej młodszej siostry, ale nie gniewaj się, kochanko, bo wiesz że gniew piękności szkodzi; a nie wiele masz do stracenia.

— W takim razie musisz gniewać się często, odpowiedziała Zofia odwracając się od siostry.

— Tak sądzisz, Fifi? zawołała wesoło Róża, spoglądając w zawieszone na ścianie lustro, w którym odbiła się tak świeża i ładna twarzyczka, że tryumfujący uśmiech na jej ustach był zupełnie usprawiedliwiony.

Naprożno szukanoby w tej ładnej główce wyższych zdolności lub wznioślejszych myśli, ale też dla pani Róży wystarczało to zupełnie że ją uważano za najpiękniejszą z siostr, i że posiadała miłość męża i dzieci, którym odpłacała się serdecznem uczuciem.

Może rozmowa między siostrami stałaby się w końcu bardzo cierpką, gdyby jej nie przerwało wejście wysokiej i chudej osoby, której koścista twarz była podwiązana chustką, a rzadkie jasne włosy pokrywał mały czepek. Była to ciotka Zelma, siostra zmarłego pana Gahlen.

— Różo, rzekła, twój mąż kazał ci oznajmić że jest zmuszonym wyjechać z kassyerem i nie wróci na wieczerzę.

— Spodziewam się, odpowiedziała Róża, że nie każe czekać na siebie zbyt długo bo wie że mama nie może znieść tego.

— Rzeczywiście możesz być pod tym względem zupełnie spokojną, rzekła cierpko ciotka Zelma; Hans jest aż do śmieszności posłusznym twej matce. Wprawdzie nie mogliby inaczej żyć pod jednym dachem, ale co do mnie nie umiałabym znieść podobnego połączenia, być na pozór panem domu, a w istocie najpokorniejszym służką matki żony; to coś niepojętego dla mnie!

— Zdaje mi się, ciotko Zelmo, iż nie przynosi to żadnej ujmy honorowi naszej rodziny że matka nasza stoi na jej czele, odezwała się Zofia, ale Róża nie dozwoliła jej powiedzieć nic więcej.

— Jeźli mój mąż, rzekła śmiejąc się, jest z tego zadowolony, to nie pojmuję dlaczego miałoby to martwić ciebie, moja ciotko? Jest on człowiekiem dobrym i łatwym w pożyciu, miłującym spokój, i dotąd jesteśmi bardzo zadowolnieni z obecnego stanu rzeczy. Z pewnością Hans nie sprowadziłby się tu wcale gdyby żył jeszcze nasz biedny Herman, faworyt mamy, ale skoro trzeba było powierzyć komuś dozór nad apteką, sądzę że nie mogła się dostać w lepsze ręce. Ale, ale, dodała odstępując nagle od przedmiotu, tak dawno już nie było listu od Fryderyka że obawiam się czy nie chory.

W tej chwili rozległ się taki hałas, że wszystkie siostry zwróciły się nagle w stronę z której dał się słyszeć.

— Jakaś ty niezgrabna, Joanno! zawołała Zofia, jakżeś mogła upuścić żelazko!

— Czy nie uderzyło cię w nagę, Joasiu? zapytała jednocześnie Helena.

— Nie, nie, nic mi się nie stało, przepraszam za moją niezgrabność.

Za drzwiami dał się słyszeć śpiew, wprawdzie nie melodyjny ale za to bardzo donośny. Słowa bez najmniejszego sensu, zgadzały się zupełnie pod tym względem z muzyką, co zdawało się sprawiać niewymowną przyjemność śpiewającemu.

— A! to ten nieznośny chłopak idzie! zawołała ciotka Zelma.

— Ten sam, moja miła ciociu, odpowiedział Albert wchodząc, i wyciągając ku niej czerwone i duże ręce. Ciebie właśnie szukałem, wzorze ciotek; okaż się wspaniałomyślną i daj mi kawałek chleba z masłem, umieram z głodu.

— Że też ty nie możesz ust otworzyć żeby nie powiedzieć jakiej niedorzeczności, powiedziała Zofia.

— Słowa twe, Fifi, są pełne mądrości, ale strasznie cierpkie i suche; napij się wody z cukrem, może to uczyni ją znośniejszą, odpowiedział poważnie Albert.

— Jakże możesz mówić, Albercie, że jesteś głodnym, odezwała się ciotka Zelma, gdy tak niedawno wstaliśmy od stołu. Nigdy jeszcze nie widziałam równie naprzykrzonego chłopca.

— To dowodzi że nie umiałaś szukać, ciociuniu, odpowiedział najmłodszy potomek Gahlen'ów. Nie zapominaj o tem że przykazano: „Głodnego nakarmić." Otóż skoro dziś zapach świeżego chleba rozchodzi się po całym domu, możesz bardzo łatwo spełnić ten miłosierny uczynek.

Widząc że nie ma ochoty spełnić jego życzenia, dodał z udanym przestrachem:

— O! najuprzejmiejsza z ciotek, czy nie widzisz tej szuflady wysuniętej naprzeciwko drzwi otwartych, i czy nie wiesz że z tego może powstać cug który powiększy jeszcze twój ból zębów.

Mówiąc to wziął ją pod rękę i wyprowadził z pokoju, śpiewając jakąś improwizowaną piosnkę wymierzoną przeciwko Zofii:

— Nieznośny chłopiec! zawołała Zofia Darowałabym już prędzej jego impertynencye gdyby w nich było choć trochę dowcipu.

— Daj pokój, nie jest gorszym od innych chłopców w jego wieku; żaden z nich nie może być kandydatem na anioła, rzekła spokojnie Róża; ale skoro ciotka Zelma poszła z tym roztrzepańcem, muszę zobaczyć co robią moje córeczki zostawione bez dozoru.

Wychodząc już, spotkała się z matką, trzymającą list w ręku.

— To od Fryderyka, rzekła rozpromieniona, pokazując adres.

— O wilku mowa, a wilk tuż, odpowiedziała wesoło Róża. Zaledwie kilka minut temu uskarżałam się właśnie na lenistwo kochanego braciszka. Muszę teraz odejść, ale nie długo wrócę i list przeczytam.

Pani Gahlen zbliżyła się do swych młodszych córek, i jako dobra gospodyni patrząc na ich robotę zapomniała na chwilę o liście od syna.

— Zofio, znów nie wygładzasz dobrze obrąbków i chustek... A do czego podobny ten czepek, koronka tak źle wyciągnięta że nie znać deseniu. — Joanno! Joanno! co ty robisz? Może ci się zdaje że prasujesz? — zawołała na bladą dziewczynkę, która przesuwała żelazko po fartuszku, nie spuszczając z oczu listu. — Jakaż to bieda że jestem zmuszona łajać od rana do wieczora, dziewczęta, których wychowanie kosztowało mnie tyle trudu.

— To prawda, mamo, zawołała Helena, ale ten list, ten list!

— A! tak, masz słuszność, rzekła pani Gahlen. Usiadła przy oknie na drewnianem krześle, włożyła okulary w rogowej oprawie i zaczęła czytać. Skoro jednak przeczytała parę wierszy wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie. Czy to być może? Czy rzeczywiście jest tam napisane: „Jestem zaręczonym." Tak, niestety!.. Ręce opadły jej bezwładnie na kolana, a córki przestraszone tak widocznem jej przygnębieniem, zawołały:

— Co się to stało, mamo? Czy jakie nieszczęście spotkało Fryderyka?

Nie odebrały żadnej odpowiedzi. Pani Gahlen siedziała sztywno, z zaciśniętemi ustami, przesuwając prędko rękę po swej sukni w tę i ową stronę, co było u niej zawsze oznaką gwałtownego wzruszenia.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 22.

N. 1—2. Ubrania domowe albo spacerowe.

N. 1 i 30. Ubranie z vêtement z dodanemi z przodu częściami kaftaniczkowemi. Forma na arkuszu z krojami N. I. fig. 1—6.

Do przodów vêtement dodane są oddzielne części kaftanikowe, pod które daje się jedwabną podszewkę i wszywa między boczki i przody. Na fig. 1a, oznaczona jest linijką forma części kaftaniczkowej, przy której ramię jest w taki sposób przedłużone w górze iż podkrój pod szyją tworzy zarazem kołnierz. Fason pleców można dowolnie zmieniać, albo krajać je razem z draperyą i upiąć sposobem wskazanym na ryc. 2, albo do pleców z krótką baskiną dodać fałdowaną lub przemarszczaną, zręcznie upiętą draperyę, przypinaną na haftki do baskiny, jak na ryc. 28. Na modelu stanik zakończony był z tyłu krótką frakową baskiną, podaną na ryc. 30, a draperya upięta na spódnicy, przykrojona była podług fig. 5. Dół spódnicy pokrywa wolant 70 cent. szeroki, oszyty plisą aksamitną 9 cent. szeroką, mający 215 cent. obwodu. Do sukni z szafirowego wełnianego cienkiego materyału, przerabianego w różnokolorowy deseń w guście chińskim, na plisę przy falbanie i ubranie stanika, użyty był aksamit marynarskiego koloru. Koronka 8 cent. szeroka wyszyta jedwabiem szafirowym.

N. 2 i 25. Ubranie z vêtement odmiennie z boków podpiętem. Krój podług formy do ryc. 1.

Suknia podana z przodu i z tyłu na ryc. 2 i 25, odrobiona być może zarówno z cienkiego wełnianego materyału jak z satynki lub zefiru gładkiego i w kratę. Ozdobę vêtement stanowi wełniana plecionka écru różnej szerokości, naszyta sposobem wskazanym. Vêtement mające 125 cent. przedniej długości, jest z jednego boku ściślej sfałdowane i króciej podpięte, z drugiego długo z przodu spuszczone. Bryty sutej, tylnej draperyi, kraje się razem z pleckami; wolant spódnicy splisowany w fałdy 8 c. szerokie; zapięcie przodów na haftki przykrywa oddzielnie dodana kontrafałda 12 cent. szeroka.

N. 3—4. Szlaczki do oszycia sukienek dziecinnych, fartuszków i t. p. Robota szydełkowa przy taśmie mignardisse.

Ryc. 4 przedstawia taśmę białą wyszytą kolorem ponsowym i obrobioną szydełkiem, bawełną lub jedwabiem ponsowym, a ryc. 3 taśmę białą z wyszyciem różnokolorowem i z robotą szydełkową białą.

N. 5—6. Płaszczyk dziecinny z pelerynką. Krój N. XIII, fig. 55—58.

Model płaszczyka podanego na ryc. 5 i 6, robiony był szydełkiem; jednakże forma i wskazany garnirunek, służyć może do płaszczyka z wełnianego materyału. Płaszczyk szydełkowy robić trzeba z włóczki angielskiej ściegiem gładkim lub deseniowem tunetańskim, gubiąc i przybierając podług formy. Robotę każdej części zaczyna się od dołu, a brzegów przodów i pelerynki nie zaokrąglać lecz robić podług cienkiej linijki, odznaczonej na formie. Taką samą linijką oznaczone są miejsca gubienia lub przybierania, gdy takowe nie wypada przy brzegu, oraz pod krój pachy i pod szyją, jako też szew na ramionach. Obiedwie połowy rękawa robią się razem, złączone przy szwie zwierzchnim, przybierając z obydwóch stron w miejscu oznaczonem linijką. W pelerynce w miejsce zaszewki na ramionach, wskazanej na formie, gubi się stopniowo od *z* do *y*. Oddzielne części płaszczyka można z lewej strony zeszyć albo spoić szydełkiem; garnirunek płaszczyka stanowi marszczona, 4 cent. szeroka płaska bufka, zakończona nagłówkami, zrobiona z atłasu skośnego, pod którą podwija się zaokrąglone rogi przodów i pelerynki. Kokardy ze wstążki 8 cent. szerokiej; pelerynka oszyta koronką 10 cent. szeroką.



N. 1—2. Ubrania domowe lub spacerowe.

N. 1. Suknia z vêtement z dodanemi z przodu częściami kaftaniczkowemi. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6. Patrz ryc. 30.

N. 2. Suknia z vêtement odmiennie z boków podpiętem. Patrz ryc. 25. Krój jak do ryc. 1.

N. 7. Sukienka haftowana dla małej dziewczynki. Krój podług formy do ryc. 33 w N. 23.

Stanik składa się ze wstawek haftowanych łączonych paskami batystu zaszytego w drobne zakładki; wykrój kwadratowy oszyty mało nadmarszczoną 4 cent. szeroką haftowaną falbanką i wązką koronką. Suto haftowana, fałdowana, 20 cent. długa spódniczka, złączona jest ze stanikiem, stębnowaną listewką. Szarfa z ciężkiej repsowej 15—20 cent. szerokiej wstążki, opasana w koło stanu, przytrzymana jest z boków haftowanemi patkami i związana z boku na kokardę; na ramionach kokardy z wązkiej wstążki. Pod haft ażurowy podwłóczy się sukienkę z satynki takiego jak szarfa koloru.

N. 8. Sukienka fałdowana dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 33 w N. 23.

Gładką, podług formy przykrojoną podszewkę sukienki, oszywa się przy wykroju szyi listewką 3 cent. szeroką, z tego co sukienka materyału, ktoren na sukienkę bierze się skośnie, składa w kontrafałdy 4 cent. szerokie, zakończa w górze nagłówkiem 2 i pół cent. szerokim i przyszywa do listewki wykroju. Przyszycie spódniczki fałdowanej, 20 c. długiej, przykrywa prosto przykrojona szarfa 13 c. szeroka. Na modelu wełniana sukienka w drobną kolorową kratkę, oszyta była bardzo wązką czarną aksamitką.

N. 9. Trzewik spacerowy.

Praktyczne spacerowe trzewiki, wyrabiane są z matowej, miękkiej, kozłowej skórki, na szerokich a nizkich obcasach z przodu sznurowane.

N. 10—11. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla dzieci od lat 2—5. Krój sukienki pod spód i paletocika na arkuszu N. XII, fig. 48—54.

Pod zwierzchnią paletocikową sukienkę, podwłóczy się luźno przykrojoną sukienkę wyciętą, bez rękawów, oszytą u dołu 16 c. szeroką żółtawą, haftowaną falbaną. Zwierzchnia sukienka zakończona jest u dołu ośmioma równemi patkami, przykrojonemi podług fig. 54, oszytemi wypustką ze sznureczkiem; nad patkami dany pasek 6 cent. szeroki z boków patkami przepięty. Na modelu sukienka z płótna granatowego miała wypustki niebieskie, a haft na pasku, kołnierzu i mankietach, kolorowy.

N. 13. Okładka na pugilares, książeczkę z notatkami lub t. p.

Deseń otrzymuje się przez zdarcie cienkiej powierzchni ze skóry, sposób roboty opisany był w N. 10 Tygodnika Mód przy ryc. 14—16.

N. 14—15. Sukienki z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 5—8. Krój N. XI, fig. 44—47.

Do przodów sukienki dodaje się 22 cent. długą część spódniczkową z wierzchu pokrytą garnirunkiem; z tyłu na spódniczkę 32 cent. długą zachodzi luźno spuszczona, fałdowana baskina pleców. Na fig. 44 oznaczona jest cienką linijką szerokość plastronu, ktoren przy sukience r. 14 odrobiony jest ze skośnych pasków stębnowanych zakładek i ze wstawek i szlaczków haftowanych, a przy r. 15 z materyału w drobną kratkę. Ryc. 14 odrobiona była z niebieskiej satynki a r. 15 z zefiru koloru heljotropu.

N. 16—18. Ubrania dla chłopczyków lat 3—5 i lat 6—8. Patrz r. 32 w N. 23. Krój N. III, fig. 11—18.

Ubranie złożone z majtek, staniczka, do którego dodane są części kamizelkowe i z bluzki, ciągle jest najwięcej używane nie tylko dla dzieci do lat 5 lecz nawet dla chłopczyków do lat 8. Ryc. 16 do 18 i r. 32 w N. 23, przedstawiają takie ubrania dla małych i większych chłopczyków. Forma podana w naturalnej wielkości, służy dla chłopczyków lat 6—8, a zmniejszona dla dzieci od lat 3—5, oznaczona jest na kroju cienkiemi linijkami. Dla dokładniejszego objaśnienia dajemy na fig. 11a—15a maleńki format wszystkich części kroju, na których zmniejszenia oznaczone są kropeczkami. W dolny, szeroki obrąb bluzki nawłóczy się taśmę elastyczną. Ryc. 18 przedstawia z przodu większe ubranie odrobione z szafirowego wełnianego materyału, oszyte czarną wązką taśmą, zapinane na złote guziki. Na ryc. 17 podajemy ubranie z płótna w paski białe i niebieskie, z kołnierzem i mankietami z płótna szafirowego, a na ryc. 32 w N. 23 ubranie z piki białej lub jasnego koloru, ozdobione białemi, stębnowanemi listewkami 1 cent. szerokiemi i szlaczkami haftowanemi. Na ryc. 16 widzimy majtki z przypiętym stanikiem, na którym naszyta jest część kamizelkowa.

N. 19. Dywanik przed łóżko. Robota mozajkowa. Krój N. XVI, fig. 63.

Dywanik mozajkowy zeszywa się z trójkątów i kwadratów, przykrojonych z resztek sukna, kortu, flanelki lub innych grubych wełnianych materyałów, w kolorach: czarnym, bronzowym, białym popielatym, ponsowym i niebieskim. Formę większego trójkąta dajemy na fig. 63, którą do mniejszych składa się przez środek we dwoje. Kwadraty można krajać w całości albo zeszyć z dwóch trójkątów większych. Ryc. 19 uczy



N. 3 Ząbki szydełkowe obrobione przy torsadce.

brzegi oszyć w koło 5 cent. szerokim pasem pluszu, albo barankiem robionym z włóczki, szydełkiem lub na drutach, a pod spód dać podszewkę płócienną. Można także kwadraty i trójkąty robić szydełkiem z różnych resztek włóczek.

N. 20. Neseser z przyrządami do szycia. Zobaczyć urządzenia wewnętrzne na ryc. 7 w N. 23, deseń do wyszycia złotym sznureczkiem na arkuszu z krojami fig. 32.

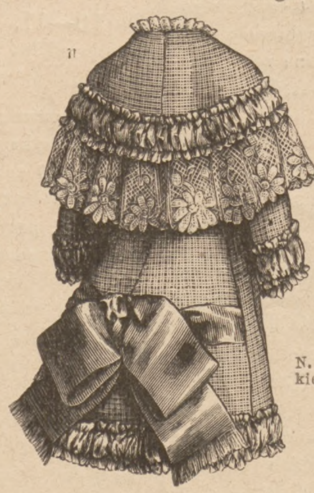


N. 7. Sukienka haftowana dla dziewczynki. Krój podług r. 33 w N-rze 23.

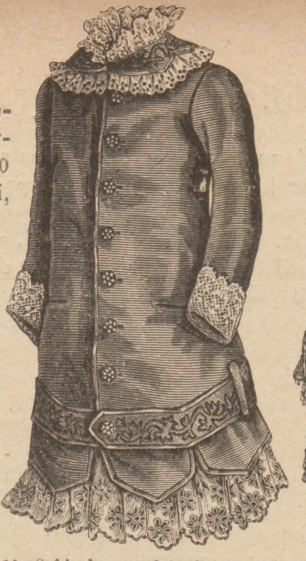
Neseser mający 24 c. szerokości a 48 długości kraje się w jednym ciągu z kieszonką 12 cent. głęboką, a więc 60 c. długi. Model odrobiony był z pluszu brunatnego i atłasu vieil-or; urządzenie kieszonek na jedwab, nici i inne drobiazgi, oraz umieszczenie książeczki do igieł i szpilek, widoczne jest na ryc 7 w N. 23. Wierzch zdobi szlak aplikacyi z szarego batystu, której brzegi przymocowane są cienkiem, złotym sznureczkiem, przydzierganym rzadko cienkim jedwabiem. Kieszonki oszyte są złotym kręconym sznureczkiem i zapinane na złocone guziczki.

N. 23—24. Suknia ze stanikiem z długą kamizelką. Krój na dodatku z formami N. VII, fig. 27.

Model sukni suto garnirowanej 9 cent. szeroką, marszczoną koronką, której rzędy zachodzą 4 cent. jeden na drugi, odrobiony był z zefiru gładkiego oliwkowego i w kratę bronzową i białą. Na spódnicy zakończonej 12 c. szeroką, w kontrafałdy ułożoną falbaną, dany jest w zęby upięty garnirunek, zachodzący na falbanę. Model i miary draperyi dajemy na fig. 27; przód z boków sfałdowany, stanowi fartuszek, a bryt tylny suto bufowany, w jaki sposób układać i łączyć pojedyńcze części i układać deseń dywanika, któren na modelu miał 60 cent. szerokości a 120 długości,



N. 5. Płaszczyk z pelerynką. Patrz r. 6. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 55—58.



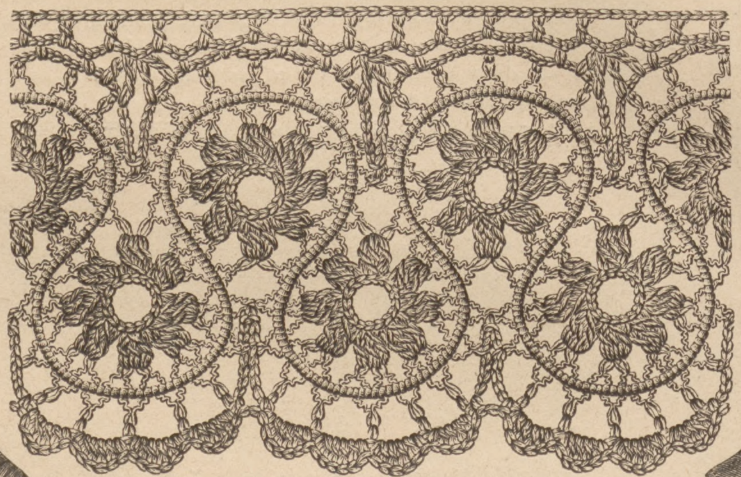
N. 10. Sukienka z paletocikowem stanikiem. Patrz r. 11. Krój na arkuszu N. XII.



N. 9. Trzewik spacerowy.



N. 6. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 5. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 55—58.



N. 12. Koronka szydełkowa z mignardisse.



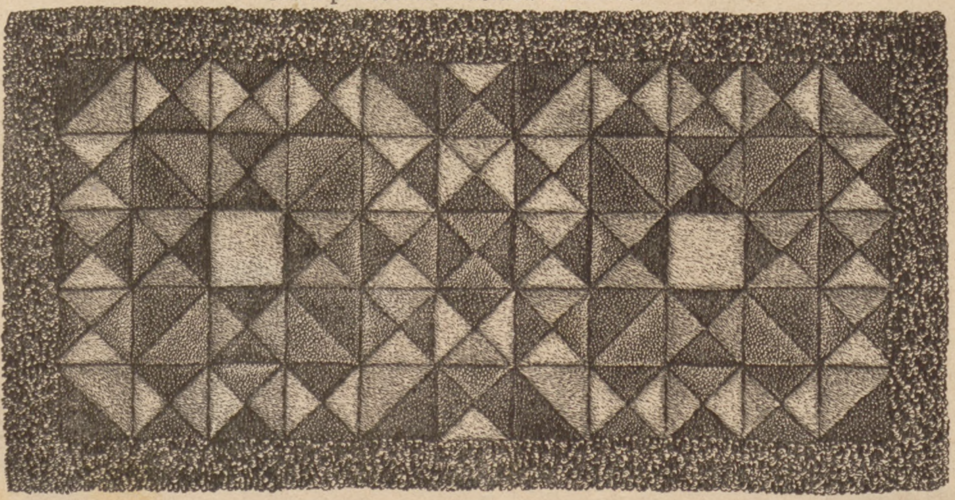
N. 11. Sukienka spodnia do r. 10. Krój na arkuszu N. XII, fig. 48—54.



N. 13. Okładka na pugilares, książeczkę notatkową lub t. p. Robota zdzierana na skórze.

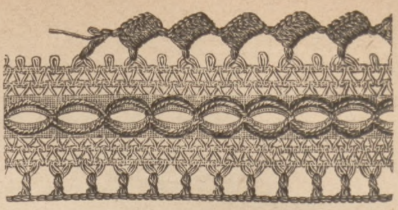


N. 14—15. Sukienka z paletocikowym stanikiem, dla dziewczynki lat 5—8. Krój na arkuszu N· VI, fig. 44—47.



N. 19. Dywanik przeb łóżko. Robota mozajkowa. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 63.

przypina się na haftki na baskinie pleców, sposobem wskazanym na ryc. 23. Długą kamizelkę z materyału w kratę, prawie zupełnie pokrywa garnirunek z koronki. Kołnierz i mankiety garnirowane koronką i ozdobione kokardami z 4 cent. szerokiej wstążki oliwkowej atłasowej.



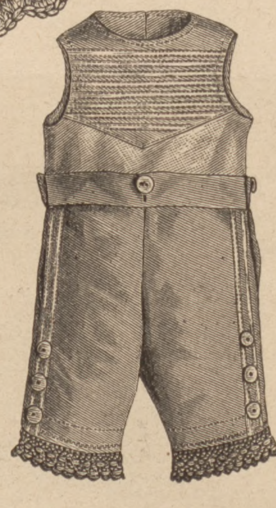
N. 4. Ząbki szydełkowe obrobione przy torsadce.

N. 28—29. Suknia z draperyą przypinaną na haftki. Model i miary draperyi N. VIII, fig. 28.



N. 8. Sukieneczka fałdowana dla dziewczynki.

Ten rodzaj draperyi szczególnie dogodny jest do sukien letnich z materyałów do prania. Tylną draperyę przypina się na haftki, w sposób wskazany na ryc. 29, do krótkiej baskiny pleców; na fig. 28 na brycie *b*, któren z boków jest przyfałdowany i między boczne szwy spódnicy wszyty, oznaczone jest kropeczkami miejsce fałd wachlarzowych, przypiętych na baskinie pleców. Spódnica ogarnirowana jest wązkiem plisowaniem i falbaną 60 c. szeroką oszytą koronką 7 c. szeroką, układaną w odstępach, 20 c. w 4 głębokie fałdy, zachodzące jedna na drugą, a w górze zakończona nagłówkiem 8 cent. szerokim, podszytym gładkim materyałem. Na fałdach falbany przypięte są pęki długich kokard, układanych z granatowej, 2 i pół cent. szerokiej aksamitki. Na brycику *a* dajemy miarę długości i szerokości bufy, którą się marszczy, zakończa gładko koronką u dołu, przyszywa szwem odwracanym, a w górze wszywa razem ze spódnicą w pasek. Stojący kołnierzyk, mankiety przy wązkich rękawach i plisa 5 cent. szeroka przy baskinie, dają się z gładkiej materyi lub aksamitu, pokrytego gładko naszytą koronką. Stanik zapina się z przodu na małe guziczki w kształcie kulek.



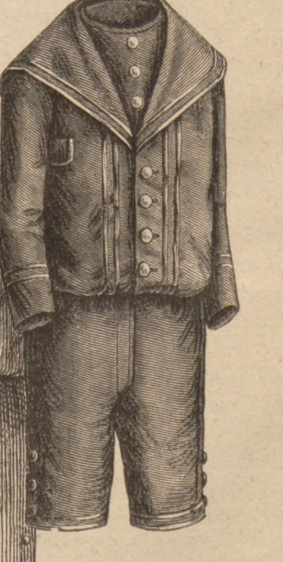
N. 16. Majteczki dla chłopczyka lat 3—5; do ryc. 17. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—12.

N. 31. Suknia z długim bawełnianym stanikiem.

Dolna widoczna z pod draperyi część spódnicy, oszytej wązką falbanką pokryta jest z przodu gładko, materyałem w guście tureckim, na którym z boków i z tyłu naszyte są 4 c. szerokie pliski aksamitne. Draperya z prostych brytów, z przodu w sute poprzeczne

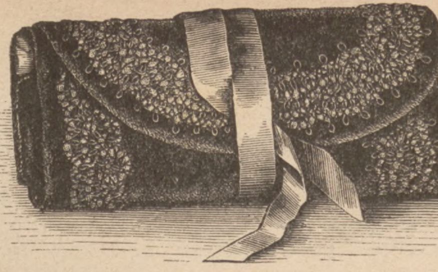


N. 17. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5. Patrz r. 16 i ryc. 32 w N-rze 23.



N. 18. Ubranie dla chłopca lat 6—8. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—17.

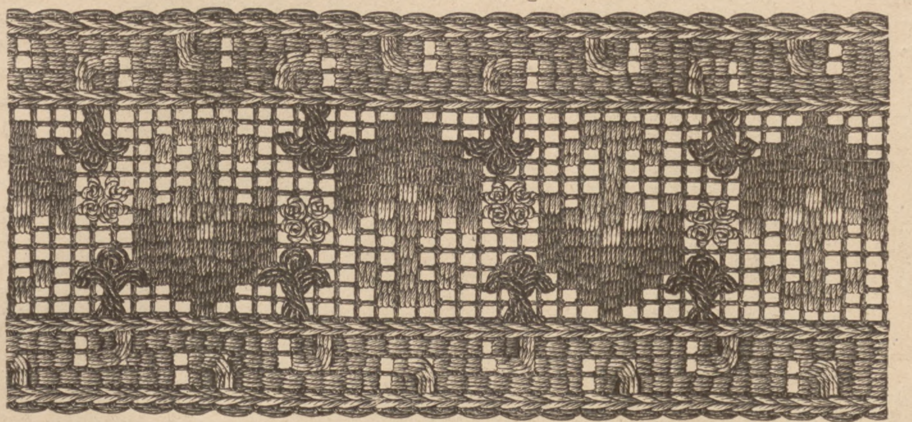
fałdy fartuszkowo upięta, z tyłu jest suto, bufiasto ułożona. Stanik długim bawetem, z boków znacznie króciej podcięty, ma dodaną część kamizelkową z tureckiego materyału, a kołnierzyk stojący, ranwersy, mankiety i obłożenie u dołu z aksamitu; kokarda ze wstążki aksamitnej 8 cent. szerokiej, guziczki złote. Na modelu aksamit i kaszmir gładki był ciemno zielonego koloru.



N. 20. Neseser z przyborami do szycia Patrz r. 7 w N-rze 23. Deseń na fig. 32.

r. 32. Bryt tylny *b* w całym górnym brzegu i w dolnym od dwukropka do gwiazdki, marszczy się i wszywa w pasek, brzeg boczny oznaczony krzyżykami i punktami fałduje się i naszywa sutaszem lub aksamitką i spuszcza wolno. Do przedniej draperyi przy ryc. 32 dodane upięcie z aksamitki, którego nie daje się jeżeli suknia służyć ma do podróży. Bluzka może być taka jak suknia, lub z materyi jedwabnej; pasek aksamitny lub skórzany.





N. 21. Szlak wywodzony kolorowo na siatce. (Filet antique.)



N. 23 Suknia ze stanikiem z długą kamizelką. Patrz r. 24. Krój na arkuszu N. VII, fig. 27.

N. 28. Suknia z draperyą przypinaną na haftki. Krój draperyi N. VIII, fig. 28. Patrz ryc. 29.

N. 32—33. Suknia z bluzką przemarszczaną. Wskazanie kroju na arkuszu z krojami N. VI, fig. 25—26.

Podług zwykłej, dobrze dopasowanej formy stanika, kraje się gładką podszewkę do bluzki pod pasek spódnicy podchodzącej. Na fig. 25, kropkowane linijki wskazują w jaki sposób do zwierzchniego materyału dodaje się potrzebną ilość na przemarszczanie. Ryc. 32 przedstawia suknię z gładkiego, wełnianego materyału, ze spódnicą oszytą wązkiem plisowaniem i trzema aksamitnemi plisami. Na ryc. 33 dajemy takąż suknię z materyału w drobną kratkę, ogarnirowaną czterema wolantami, 20 cent. szerokiemi, naszytemi sutaszem lub wąziutką aksamitką. Na małym formacie fig. 26 przedni bryt draperyi oznaczony literą *a*, składa się w krótszym brzegu w oznaczoczone krzyżykami i kropkami fałdy i przyszywa z boku na spódnicy, 20 cent. poniżej od wszycia w pasek; skośnie ścięty brzeg górny podwija się do spodu, a brzeg *b* dłuższy sfałdowany, podsuwa się pod to podwinięcie i przyczepia do sukni w sposób wskazany na



N. 22. Woreczek do robót ułożony z fularowej perkalowej chustki.

N. 38. Ubranie do konnej jazdy. Wskazanie kroju na arkuszu z formami N. XV, fig. 62.

Do amazonki ciągle najmodniejszy jest stanik gładki z krótką baskiną, trochę podciętą na biodrach a z tyłu bawetowo przedłużoną, któren łatwo przykroić można podług każdej, dobrze dopasowanej formy stanika. Model i miary spódnicy krojem angielskim wypukło do zgiętych kolan dopasowanej, dajemy na fig. 62, na części *a* środek przodu jest oznaczony linijką z kryseczek, a rozporek 30 cent. długi, któren daje się z lewego boku, linijką podwójną. Zeszycie prostych brzegów części *a* i *b* wypada także z lewej strony, a zeszycie brzegów kolistych z zaszewkami na kolanach z boku prawego. Zbywającą w górze szerokość spódnicy składa się w kilka fałdek z tyłu, a dalej wszywa gładko w pasek. Stanik zapina się na gęsto przyszyte małe guziczki w kształcie podków, z konchy perłowej, z brzegami srebrnemi. Takaż brosza przy spięciu kołnierza; bukiecik ze świeżych kwiatów. Nie zbyt wysoki męzki kapelusz otoczony woalikiem.



N. 26. Wstążeczka do rozety r. 30 w N. 23.



N. 24. Suknia ze stanikiem z długą kamizelką. Patrz r. 23.



N. 25. Suknia z vêtement odmiennie z boków podpiętem. Patrz r. 2.



N. 27. Marszczenie materyi do ryc. 31 w N-rze 23.



N. 32. Suknia z bluzką przemarszczaną. Patrz ryc. 33.



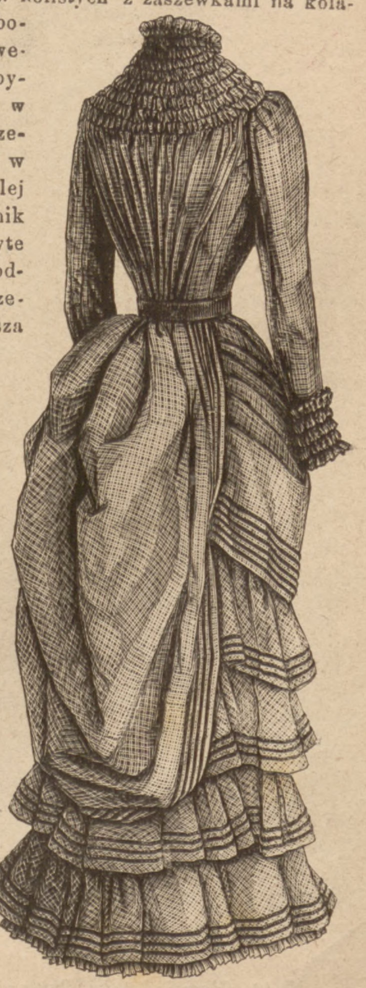
N. 29. Draperya do sukni ryc. 28. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 28.



N. 31. Suknia ze stanikiem z długim bawetem.



N. 30. Suknia z vêtement z dodanemi przodami kaftanikowemi. Patrz ryc. 1.



N. 33. Suknia z marszczoną bluzką. Krój na arkuszu N. VI, fig. 25—26. Patrz ryc. 32.



N. 34. Kołnierz aksamitny lub pluszowy z żabotem koronkowym.

N. 39. Ubranie spacerowe.
Krój podług formy do r. 32 i 33.

Spódnica letniej sukni, odrobionej z kremowego zefiru oszyta dwoma szerokiemi wolantami, układanemi w kontrafałdy; w każdą zwierzchnią fałdę, mającą 13 c. szerokości, wszyta 4 c. szeroka, kremowa, haftowana wstawka. Stanik i draperya zefiru kremowego w rzucik z czerwonych goździków. Przednią draperyę układa się z bryta 118 c. długiego, a 130 szerokiego, z boków sfałdowanego do 32 cent. długości; na tylną sutą, krótką draperyę potrzeba bryta 122 c. długiego, a 112 szerokiego. Stanik bluzkowy przykrojony podług formy do r. 32 i 33, zdobi pasek bawetowy aksamitny, mający 12 c. środkowej a 6 bocznej szerokości. Żabot odrobiony podług ryc. 36 lub 37; kokardy ze wstążki ciemno ponsowej aksamitnej 4 cent. szerokiej. Kapotka z tego co suknia materyału ubrana aksamitką i koronką.



N. 37. Kołnierzyk stojący (colmilitaire) z plastronem i rozetą. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 64.



N. 38. Ubranie do konnej jazdy. Krój na arkuszu N. XV, fig. 62.

N. 39. Ubranie spacerowe. Krój jak do ryc. 32 i 33.

N. 40—41. Parasoliki ozdobione koronką.

Najmodniejsze parasoliki nie są jak dawniej całe pokryte koronką, lecz tylko do połowy swej powierzchni, a na 8 c. od brzega, wyciną się w wierzchu i podszewce w koło pasek 10 cent. szeroki, przez któren koronka przegląda jak wstawka. Ryc. 40 przedstawia parasolik z laseczką gładko pokrytą materyą tego co wierzch koloru, ze srebrną rączką i kokardą ze wstążki w kolorach wierzchu i podszewki; a ryc. 41 parasolik z laską ze skręconej trzciny i rączką srebrną, przy której zawieszony jest woreczek pluszowy 12 cent. długi a 10 szeroki.



N. 35. Kołnierz aksamitny ogarnirowany szeroką koronką i związany kokardą.



N. 36. Kołnierzyk stojący col militaire z plastronem. Krój na arkuszu N. VII, fig. 64.

N. 43. Peleryna skośnie zapięta. Krój N. X, fig. 42—43.

Fason ten właściwy jest dla osób mających figurę zręczną i wysmukłą. Model odrobiony był z gazy jedwabnej przerabianej w kwiaty aksamitne, na podszewce z materyi jedwabnej kolorowej. Przy wykroju szyi dana suta riusza, z koronki 5 c. szerokiej, w dwie strony naszytej. Brzeg dolny naszyty dwoma, jeden na drugi zachodzącemi, rzędami 10 cent. szerokiej, fałdowanej koronki, której rząd dolny przyszyty jest do 8 centymetrów szerokiego paska tiulu. Na fig. 42 dajemy w naturalnej wielkości formę lewej, spodniej połowy peleryny, przy której cienką linijką oznaczona jest część prawa na wierzch zachodząca. Ramiona zeszywa się od Q do P, a część materyału wystającą, marszczy się ściśle od gwiazdki do dwukropka i przy Q przyszywa. Pasek przy wykroju szyi zagarnirowany koronką, przyszywa się od R do S. Brzegi pelerynki fałduje się podług znaków, do dłuższej prawej strony przyszywa się od spodu 2 haftki, a z lewej strony, 1 cent. od szwa na ramieniu, dwie pentelki do zapinania pelerynki; z wierzchu daje się kokardę.



N. 40—41. Parasoliki z koronką.



N. 42. Okrycie letnie. Patrz ryc. 12 w N. 23.



N. 43. Pelerynka skośnie zapięta. Krój na arkuszu N. X, fig. 42—43.